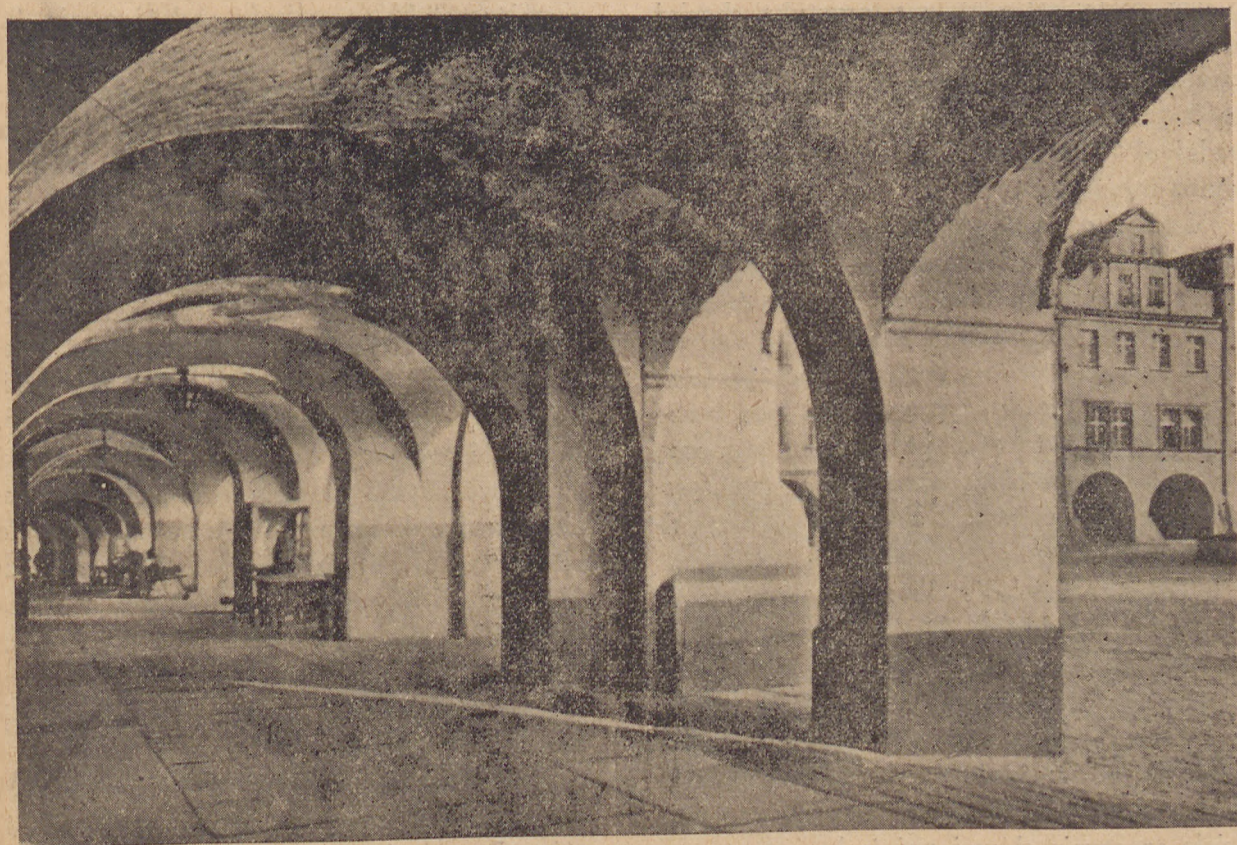


ZIEMIA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK
KRAJOZNAWCZY



Jelenia Góra. Podcienia w rynku.

Ze zbiorów Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji.

Nietylko w szerszych kręgach społeczeństwa polskiego, ale również i w środowiskach bezpośrednio zajmujących się krajoznawstwem, bądź turystyką, bądź jednym i drugim wspólnie, daje się często zauważyć pomieszanie tych dwu pojęć. Pomieszanie to wywołuje zbędną rozbieżność zdań w sprawach, związanych z tymi 2-ma zagadnieniami. W wyniku powstają na różnych zebraniach bezowocne dyskusje i długotrwałe rozprawy, które często udawadniają, iż rzekoma różnica poglądów na jakieś zagadnienie nie jest wcale istotna, że źródło ma jedynie właśnie w pomieszaniu pojęć: turystyka i krajoznawstwo.

Jaskrawym przykładem tego stanu rzeczy był zjazd turystyczny w Postominie, odbyty w czerwcu r.b., poświęcony sprawom rozwoju wybrzeża morskiego, uzdrowisk, lotnisk i kąpielisk oraz turystyki morskiej i nadmorskiej. W związku z jednym z referatów, który był poświęcony czysto praktycznemu zagadnieniu, wywiązała się teoretyczna wymiana zdań o tym, co to jest właściwie turystyka, chociaż sprawa turystyki nie była wcale tematem referatu. Uboczna ta dyskusja trwała jednak około 3 godzin, nie rozwiązując bynajmniej zagadnienia, czym jest, względnie czym być powinna turystyka.

Istnieją w Polsce zwolennicy tzw. „czystego”, idealnego krajoznawstwa, odnoszący się jeśli nie z pogardą, to z lekceważeniem do turystyki, uważający wszelką turystykę za znieważanie krajoznawstwa. Istnieje obóz przeciwnych fanatyków, którzy wynosząc pod niebiosa turystykę, jako taką, z pobłażaniem odnoszą się do krajoznawców, zwłaszcza do teoretycznych krajoznawców, nie uprawiających zupełnie turystyki.

Takie rozdzielanie krańcowe krajoznawstwa od turystyki jest błędne i prowadzi do również błędnych wniosków, utrudniających ustalenie właściwej linii polityki turystycznej w Polsce.

Dlatego jest rzeczą konieczną, ażeby czynniki państwowe i społeczne ustaliły zgodnie ścisłe znaczenie słów i pojęć: krajoznawstwo i turystyka, co z kolei rzeczy ułatwi również

ustalenie wzajemnego stosunku tych 2 zagadnień i stanowiska, jakie te 2 prądy w życiu narodowym i państwowym zająć powinny.

Aczkołwiek w dosłownym znaczeniu krajoznawstwo jest jedynie dziedziną wiedzy, obejmującą znajomość wszystkiego, co dotyczy jakiegoś kraju, w Polsce wyraz ten dzięki tradycji posiada znaczenie szczególne. Pojęcie krajoznawstwa weszło do potocznego języka polskiego od czasu, kiedy powstało Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, kiedy zespół członków tego stowarzyszenia — „krajoznawców” nadał pojęciu krajoznawstwa zakres i treść nietylko znajomości kraju ojczystego, ale również i jego szczególnego umiłowania i pragnienia (jaknajdokładniejszego poznania go i jaknajczęstszego obcowania z jego pięknem i chwałą).

Również i wyraz „turystyka” posiada odmiennie znaczenie teoretyczne i praktyczne. Gdy teoretycznie turystyka jest prosto podróżnictwem, w praktyce na całym świecie przez turystykę rozumiemy podróżowanie dla przyjemności. Tak, jak różne bywają rodzaje przyjemności, tak różne znamy rodzaje turystyki. Pobudką do uprawiania turystyki może być zarówno snobizm, jak chęć czysto intelektualna naukowego poznania obszarów czy miejscowości zwiedzanych. Bodźcem do uprawiania turystyki bywa często chęć wyzycia się sportowego, mamy wtedy do czynienia z turystyką sportową, jak narciarską, żeglarską, kajakową, kolarską, motorową lub, jak w Holandii, dzięki gęstej sieci kanałów, łyżwiarstwa, itp. Wreszcie pobudką do uprawiania turystyki może być „żyłka krajoznawcza”, chęć poznania własnego kraju nietylko z pobudek czysto poznawczych, ale dla zadowolenia uczuć patriotycznych, przyjemności obcowania z tym wszystkim, co się kocha, z czego się jest dumnym, ze „swojszczyzną” ojczystej ziemi, jej ludnością, dziejami, dorobkiem cywilizacyjnym i kulturalnym.

Nie ulega chyba wątpliwości, że ten rodzaj turystyki krajoznawczej stanowi w hierarchii różnych rodzajów turystyki, turystykę najwznioślejszą i najdoskonalszą. Łączy ona w so-

bie obydwu czynników, napozór sprzeczne: krajoznawstwo i turystykę przyjemnościową, pozatym daje się pogodzić z innymi rodzajami turystyki, jak turystyka naukowa i turystyka sportowa, gdyż turystyka wspinaczkowa, czy narciarska, kajakowa czy motorowa, jeśli nie jest jedynie bezmyślnym poruszaniem się i gimnastyką mięśni, gdy jest pogłębiona ciekawością poznania kraju i uczuciem patriotycznym, również wznosić się może na wyżyny turystyki krajoznawczej.

W społeczeństwie naszym ugruntowało się już przeświadczenie i zrozumienie gospodarczego znaczenia turystyki dla każdego kraju. Nie ulega żadnej wątpliwości, że każde państwo musi popierać ze względów gospodarczych turystykę każdego rodzaju, we wszelkich jej objawach i postaciach. Ale gdy do względów natury czysto ekonomicznej dodamy jeszcze wzgląd na rozwój kultury narodowej, uobywatelnianie szerokich warstw społeczeństwa, przywiązanie ich do ziemi ojczystej i do państwa — przyjść musimy do przekonania, że właśnie turystyka krajoznawcza zasługuje na największe, najwydatniejsze poparcie zarówno ze strony czynników państwowych, samorządowych, jak i ze strony działaczy społecznych, zwłaszcza zaś kulturalno-oświatowych.

Również i nas jako przedstawicieli idei krajoznawczej, jako pionierów krajoznawstwa, również i „Ziemię“, jako organ naczelny turystów - krajoznawców, przede wszystkim ten rodzaj turystyki pasjonuje i nęci. Turystyce krajoznawczej, rozwojowi tej turystyki poświęcamy nasze myśli, nasze wysiłki i pracę. Przy idei turystyki krajoznawczej pragniemy skupić jaknajliczniejszą rzeszę miłośników kraju ojczystego w ośrodkach Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego rozrzuconych gęstą siecią po całym kraju. Towarzystwo Krajoznawcze nie widzi żadnej rozbieżności pomiędzy ideą krajoznawczą i turystyką, gdyż krajoznawstwo jest celem, a turystyka środkiem do tego celu. I dlatego Towarzystwo Krajoznawcze ma ambicję stać się wielkim obozem czynnych krajoznawców - turystów i sięgnąć po prymat w Polsce w tej dziedzinie.

Z radością musimy na tym miejscu podkre-

ślić, że i naczelny organ państwowy powołany w Polsce do opieki nad turystyką — Min. Komunikacji — w okólniku swym do władz administracji ogólnej, którego treść podajemy w numerze niniejszym w kronice, również wyznacza obozowi krajoznawców polskich, zorganizowanemu w Polskim Towarzystwie Krajoznawczym, rolę przodującą w polskiej turystyce.

Ażeby jednak Towarzystwo Krajoznawcze misję tę mogło spełnić należycie, musi w jego ramach skupić się cały obóz polskiej turystyki, zarówno tej czysto krajoznawczej, jak i specjalnej, sportowej, gdyż statut Towarzystwa Krajoznawczego obejmuje również i Sekcje, jak np. narciarską, kajakową itp.

Ważnym krokiem naprzód w tej sprawie byłoby połączenie Towarzystwa Krajoznawczego z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim w jedną całość. Polskę nie stać dzisiaj na rozpraszenie wysiłków ludzkich i środków pieniężnych. Podobnie, jak Klub czechosłowackich turystów obejmuje wszelkie rodzaje turystyki w Czechosłowacji, w Polsce powinna istnieć jedna organizacja krajoznawcza ogólnoturystyczna, jedna, ale zato liczebna i potężna dźwigająca wzwyż na barkach swych członków ideę krajoznawczą i wspierającą rozwój ruchu turystycznego.

Stanisław Lenartowicz.



Część ogrodów Kórnickich. Ze zbiorów Fundacji Kórnickiej.

(«Ziemia» Nr 4, str. 9 — «Ogrody Kórnickie»)

CO SŁYCHAĆ W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ?

Gdy w październiku br. Biuro Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa nadesłało mi zaproszenie do przeprowadzenia naukowej kontroli rezerwatu naszych koników typu tarpana leśnego w Puszczy Białowieskiej, cały tok moich myśli przestawił się od nawału bieżących spraw i zajęć uniwersyteckich do problemów białowieskich, z którymi od lutego 1936 związała mnie jak najściślej podjęta tam podówczas w wyniku moich badań i na skutek mej inicjatywy, próba regeneracji dzikiego konia, tarpana leśnego, którego ostatni przedstawiciele żyli w naszej Puszczy jeszcze w drugiej połowie XVIII wieku.

Od ostatniego pobytu w Białowieży w dniach od 8 do 18 lipca 1939 upłynęło bowiem już 6 i ćwierć długich i ciężkich lat, z których niemal połowa (od 25 czerwca 1941 do 15/16 lipca 1944) przypadła na okres okupacji i „gospodarki” niemieckiej w Białowieży, tej „gospodarki”, która w czasie poprzedniej wojny światowej była znaczone na terenie Puszczy rabunkową eksploatacją jej cennego drzewostanu oraz zwierzostanu, zwłaszcza żubrów, losi i jeleni, a która w obecnej wojnie z roku 1939 i następnych, oznaczała dla naszych ziem długie i koszarne dni potwornej i wyrafinowanej eksploatacji już nie tylko skarbów naszej przyrody i naszych dóbr materialnych, ale nadto strumieni krwi naszej, w najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu, a także skarbów duchowych.

Zbiocom białowieskim, ani też zwierzyńca rezerwatowej (żubry, koniki, losie, niedźwiedzie), nie poświęcali Niemcy na ogół żadnej specjalnej opieki, bądź to pozostawiając je w stanie całkowitego niemal zaniedbania, bądź to grabiąc je niemal doszczętnie i wywożąc do Niemiec (koniki). Jedyną inowacją, jaką spotykamy dziś w zwierzyńcu żubrowym z czasów okupacji niemieckiej, to betonowe koryta na wodę w miejsce przedwojennych drewnianych, oraz krótkie żłoby na paszę, rozmieszczone w poszczególnych kwaterach w odstępach, tuż za małymi od zewnątrz otwieranymi drzwiczkami, służącymi do podawania paszy, na wzór stosowany w ogrodach zoologicznych.

Z puszczańskiego muzeum przyrodniczego w Białowieży pozabierali różne eksponaty, a działy: botaniczny, fitosocjologiczny, entomologiczny i bartnictwa, tego cennego muzeum, będącego dorobkiem kilkunastoletniej mrowczej i fachowej pracy jego Dyrektora Dr. Inż. J. J. Karpińskiego, wybitnego hylologa i entomologa lasu, spłonęły w lipcu 1944 wraz z pałacem, pochodzącym z r. 1894, spalonym przez cofających się ku Hajnówce Niemców.

Żubrów, których stan liczebny w ciągu pierwszych dwóch miesięcy „gospodarki” niemieckiej w Puszczy Białowieskiej podczas poprzedniej wojny światowej (1914—1918) stopniał na skutek masowych i dzikich polowań z ilości 730 sztuk na blisko 200, a które następnie, pod koniec tamtej wojny, zostały doszczętnie wytępione przez maruderów z armii niemieckiej i resztki ówczesnych jeńców wojennych, zatrudnionych przy wyrębie i obróbce drzewa na terenie Puszczy, tym razem Niemcy nie wytępiłi, ani nie wywieźli. Chodzą jedynie na terenie Białowieży słuchy, że tylko starą żubrzycę Bizentę upolował w roku 1943 sam Goering, na co atoli, ze zrozumiałych względów, brak naocznych świadków.

Dopiero wiosną 1944 miał bawić w Białowieży jakiś z profesorów berlińskich, który na podstawie badań gruntu na terenie zwierzyńca żubrowego, oraz sekcji dokonanej na jednym specjalnie w tym celu zastrzelonym żubrze, miał ustalić, że na dotychczasowym terenie żubry dalej istnieć nie mogą, a to z powodu opanowania terenu przez zabójczą motylicę, co potwierdziły również nasze badania, przeprowadzone przez kierownika miejscowego laboratorium bakteriologiczno - łowieckiego.

To też być może, m.i. poniekąd również i z tego powodu wypuścili Niemcy przeważającą część żubrów ze zwierzyńca na swobodę już w roku 1943 i wiosną 1944, a pozostałą mieli zamiar przeprowadzić jesienią 1944 na teren zwierzyńca koników, będącego w stadium likwidacji.

W lipcu 1944 przed samym odejściem Niemców z Białowieży, na rozkaz przybyłego pułkownika niemieckiego, wypuszczono resztę

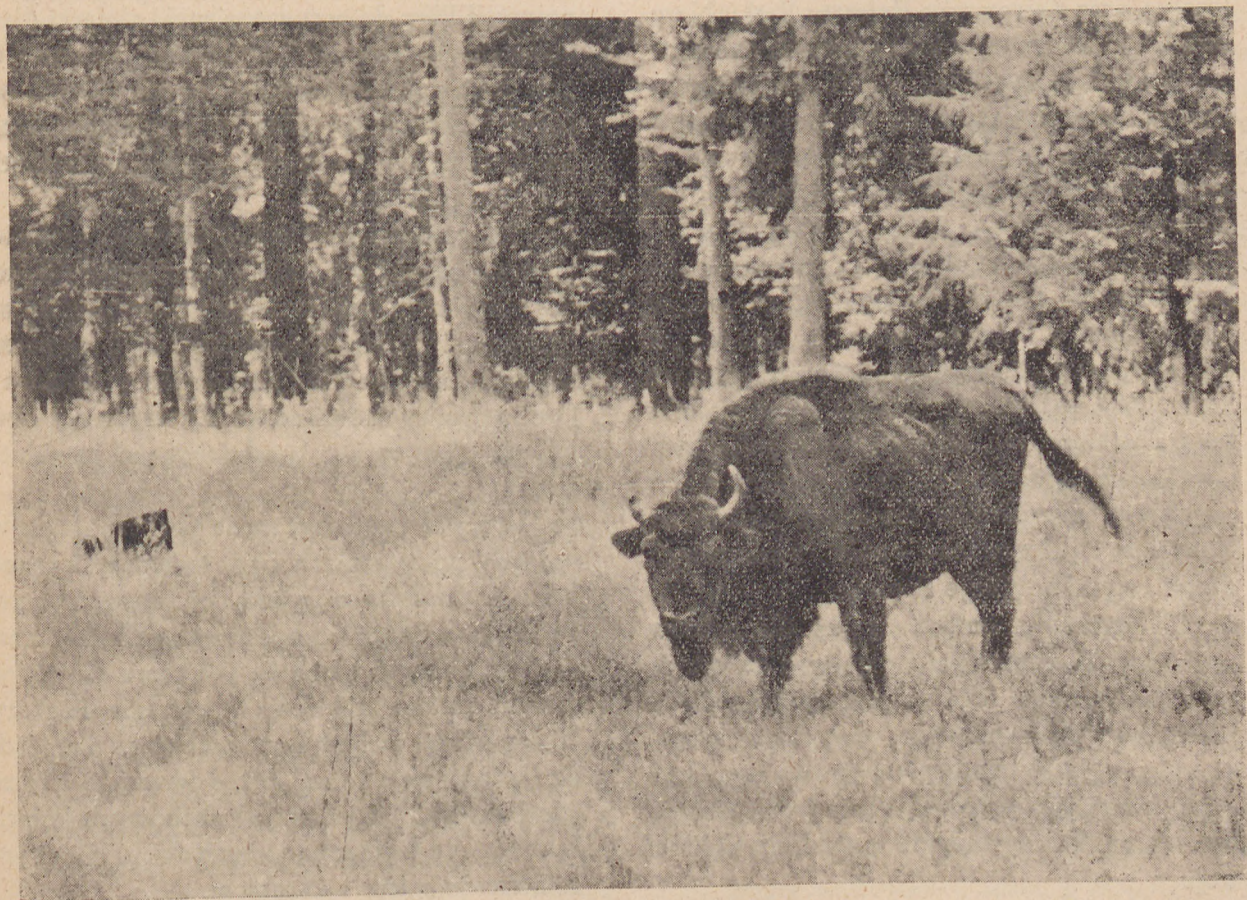
żubrów ze zwierzyńca na wolność, pod pretekstem ochrony ich przed nadchodzącymi wówczas wypadkami wojennymi. Gdy wkrótce potem, już po wypuszczeniu wszystkich żubrów na wolność, nadjechał inny oficer niemiecki, pytał o żubry i irytował się, że zostały one wypuszczone, było już za późno. Tę swoją dobrane czy źle pomyślaną wolność przypłaciły żubry stratą 8-miu cennych osobników, które zginęły przy przesuwaniu się frontu w miesiącach lipcu i sierpniu 1944. Zginął wśród nich cenny byk Borus, czołowy okaz naszego zwierzyńca żubrowego, zastrzelony na mięso, oraz 3 inne samce i 4 samice. Po wyparciu Niemców z Puszczy Białowieskiej, 17 pozostałych na wolności żubrów wpędzono z powrotem do zagród zwierzyńca, i te przejęły we wrześniu 1944 władze polskie od sowieckich.

W dniu 1 września 1939 stan liczebny żubrów w zwierzyńcu (rezerwacie) żubrowym w Puszczy Białowieskiej wynosił 16 sztuk czystej krwi, w czym 4 byki i 12 krów.

W czasie od wybuchu wojny do 23 października 1945 przybytki w zwierzyńcu tym wynosiły 29 sztuk, ubytki 22 sztuk, z których 15 padło od kul. Niektóre z pozostałych 7-miu sztuk, spośród przychówku, zginęły podczas okupacji niemieckiej z głodu.

Obecny (po dzień 23.X.1945) stan liczebny żubrów w Puszczy Białowieskiej wynosi 23 sztuk, w czym 11 samców (6 byków starszych z lat 1933—1942, i 5 byczków z lat 1943 — 1945), oraz 12 samic (7 krów z lat 1934 — 1942 i 5 jałówek z lat 1943 — 1945). Są to wszystko żubry puszczańskie czystej krwi, z wyjątkiem byczka Bue z roku 1943, syna sprowadzonego przez Niemców z Kowna Milisa, który być może wykazuje domieszkę krwi bizona.

Rozmieszczone dotąd jeszcze na 4-ch wzgl. 5-ciu kwaternionach zwierzyńca, liczącego 59 ha, na terenie leśnictwa Zwierzyniec, w odległości 9 ha na zachód od Białowieży, przy szosie wiodącej do Hajnówki, zażywają tam dziś znowu



Białowieża. Żubr z rezerwatu.

Fot. Zofia Chomętowska.

nasze żubry, ongiś atrakcja łowów królewskich, a obecnie znawców i miłośników przyrody, starannej opieki, chociaż i w stosunku do nich dają się odczuwać pewne trudności aprowizacyjne przeżywanej obecnie doby, a to na skutek odcięcia dziś od naszej Puszczy głównych terenów łąkowych, wysokich cen owsa i soczystych pasz okopowych, wreszcie z powodu nieobrodzenia w bieżącym roku na terenie Białostockiej Dyrekcji Lasów Państwowych, której Puszcza Białowieska administracyjnie podlega, zołędzi, jako cennej paszy dopełniającej. Nie mniej dzisiejsi gospodarze Puszczy i jej zwierzyńców, a więc zarówno Inż. Zygmunt Łukaszewicz, Dyrektor L. P. Okręgu Białostockiego, jak i Dr Inż. J. J. Karpiński, Dyrektor Oddziału Instytutu Badawczego Leśnictwa, a zarazem Parku Narodowego i Muzeum Przyrodniczego Puszczańskie w Białowieży, mając za sobą całkowite zrozumienie i poparcie Biura Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa, spoczywającego w rękach Dyrektora tego Biura Dr. Stefana Jarosza, oraz Kierownika Referatu Parku Narodowych i Rezerwatów Inż. Tadeusza Szczęsnego, dokładają wszelkich starań, dla przezwyciężenia następujących się trudności i zapewnienia żubrom, a tak samo innej zwierzynie rezerwatowej (koniki), jak najwłaściwszych warunków bytu.

To też żubry nasze wracają znowu do dobrej kondycji i można je oglądać ze specjalnych trybun w dobrym zdrowiu, już to, jak majestatycznie kroczą po leśnych polanach zwierzyńca, już to, jak zajadają się paszą oraz korą dostarczanych im codziennie gałęzi iwy i osiki, albo gdy w półleżącej pozycji wypoczywając i przeżuając, imitują z oddali, do złudzenia, postrzępione pnie zmurszałych drzew, w jakie obfituje Puszcza.

Tymczasem montuje się już dla żubrów w Puszczy Białowieskiej nowy teren zwierzyńca o powierzchni 121 ha, graniczący z IV-tą i VI-tą kwaterą zwierzyńca dotychczasowego, na którym po 16 latach przebywania na jednej i tej samej ograniczonej przestrzeni, znajdują one znacznie korzystniejsze warunki bytu i rozwoju.

W burzliwą noc września ubiegłego roku rozegrał się na terenie kwater IV i V naszego

zwierzyńca żubrowego niecodzienny dramat. Otóż w nocy, podczas burzy, runęły 3 zbudowane przezła ogrodzenia kwatery IV, na terenie której przebywało 6 żubrów. Cztery z nich dostały się na wolność, poza obręb kwatery, dwa dalsze, w tym stary odyniec Plisz z roku 1933, przedostały się do sąsiedniej kwatery V, gdzie także zaważyło się 5 przesek. Skutkiem tego i te dwa osobniki znalazły się na wolności. Podczas gdy pięć z tych sześciu sztuk udało się zapędzić z powrotem do kwater, Plisz uciekł do puszczy i hasał po niej przez kilka tygodni. Jednego z gajowych, który natknąwszy się na Plisza szukał przed nim schronienia na drzewie, oblegał wyswobodzony zwierz przez szereg godzin, a potem, gdy już gajowemu udało się zemknąć z drzewa, jeszcze przez długie godziny kręcił się rozjuszony wokół niego.

Liczono się już nawet z koniecznością odstrzelenia Plisza, gdyż jako odyniec na swobodzie zginąłby prawdopodobnie i tak od kuli kłusownika. Atoli w dniu 22.V. br. koło godziny 16-tej, ku ogólnej radości wszystkich, powrócił Plisz do przygotowanej i stojącej dlań otworem kwatery IV, zwabiony rozsnutą w tym celu poprzez puszcę smugą owsa, po czym trzymana specjalnie w pogotowiu straż leśna, zamykając z ręcznie wrota kwatery, odcięła mu odwrót.

W przeciwieństwie do żubrów, ze zwierzyńcem koników polskich typu tarpana leśnego, położonym w Puszczy Białowieskiej na przestrzeni 36 ha, podzielonej na 6 kwater, również na terenie dzisiejszego leśnictwa (przed wojną nadleśnictwo Zwierzyniec) obeszli się Niemcy z całą właściwą im brutalnością.

Wpływała na to być może okoliczność, że w naszych poczynaniach nad regeracją tarpana leśnego chodziło o polską inicjatywę i myśl hodowlaną, którą po opanowaniu Polski trzeba było zdławić, mimo, że już przed wojną, w samym zaraniu założenia na terenie Puszczy Białowieskiej zwierzyńca koników, jako oddzielnego rezerwatu, przedsięwzięcie nasze spotkało się w najszerszych fachowych kołach Europy, nie wyłączając niemieckich, z żywym zainteresowaniem i uznaniem.

Dla zoologów niemieckich, czemu już przed wojną niejednokrotnie dawali oni wyraz,

zwierzyńiec koników w Puszczy Białowieskiej przedstawiał tym żywszy przedmiot zainteresowania, że synowie znanego ongiś prof. dr. Ludwika Hecka, poprzedniego dyrektora berlińskiego ogrodu zoologicznego, a mianowicie znani mi dobrze przed wojną prof. dr. Lutz Heck, ostatni dyrektor tego ogrodu zoologicznego oraz jego brat Heinz Heck, dyrektor ogrodu zoologicznego w Hellabrunn pod Monachium, realizując ideę swego ojca, pracowali przed wojną nad regeneracją w Niemczech dużego tura europejskiego ((dzikiego przodka naszego bydła domowego), a równoległe ze mną, atoli wówczas bez jakiegokolwiek wzajemnej wiedzy i zależności, podjęli próbę rekonstrukcji dzikiego konia leśnego dawnej Germanii, zmierzając do tego celu na wręcz odmiennej niż ja drodze, a mianowicie na drodze skomplikowanego krzyżowania pomiędzy sobą małych koni różnych ras, a nawet typów.

To też nie było dla mnie niespodzianką, gdy w księdze pamiątkowej gości muzeum Białowieskiego, która zachowała się w Białowieży po dzień dzisiejszy, pod datą 19 stycznia 1942, wśród nazwisk 5-ciu Niemców, którzy byli wówczas w Białowieży, oglądali koniki, i wyznaczyli na wywóz do Niemiec 22 najlepsze i najtypowsze spośród nich okazy, wyczytałem również nazwiska braci Hecków. Niespodzianką natomiast pozostaje, że nie kto inny, ale właśnie prof. dr. Lutz Heck, po którym można było nie spodziewać się tego, podczas wojny „die oberste Naturschutzbehörde“ Niemiec, zdecydował się wyrwać nasze koniki, mające przywrócić Puszczy Białowieskiej odwiecznego jej mieszkańca, z naturalnego ich środowiska i przerwać w ten sposób brutalnie hodowlany eksperyment, mający służyć nauce, właśnie, przez nieprzerwaną ciągłość, obliczoną na dalszą metę.

W chwili wybuchu wojny, w roku 1939, liczebny stan koników w Puszczy Białowieskiej wynosił łącznie 40 sztuk, w czym 5 ogierków i 14 klaczek materiału wyjściowego, wyszukanych przeze mnie z nieładą mozolem i nabytych przy czynnej i materialnej pomocy ówczesnego Szefostwa Remontu w latach 1936 — 1939, na terenie różnych powiatów wschodnich i południowych ziem Polski, oraz 21 sztuk już z przychówku puszczańskiego,

a mianowicie 2 z rocznika 1937, 6 z rocznika 1938 i 13 z rocznika 1939.

Wśród koników wyjściowych, niektóre sztuki okazały się na podstawie ich potomstwa materiałem szczególnie wartościowym, a wśród przychówku mieliśmy już przed wojną w zwierzyńcu puszczańskim, właśnie na skutek trafnie dobranego materiału wyjściowego, takie cenne osiągnięcia i osobliwości zoologiczne do zanotowania, jak szereg dziko umaszczonych osobników periodycznie bielejących w zimie, albo pierwsze osobniki o krótkiej, sztywnej, stojącej grzywie, cesze konia dzikiego, z których pod tym względem wybijała się na czoło wyjątkowo piękna, harmonijna i silnie przegowana „Sasanka białowieska“ z rocznika 1939.

Wspomniane periodyczne bielenie niektórych koników puszczańskich, połączone u nich z periodyczną, dwukrotną w roku, zmianą sierści, właściwą zwierzętom dzikim, przypomina stosunki zachodzące u naszych gronostajów, oraz u niektórych dzikich zwierząt polarnych, i rozwiązuje dotychczasową zagadkę tych dzikich białych koni z przed przeszło 2000 lat, o których słynny Hierodot w 52 rozdziale IV księgi swej Historii wspomina, że miały się paść u brzegów jeziora zwanego „matką Hypanisa“, gdyż wyprowadzano z niego wówczas m. i. scytyjski Boh (Hypanis). Otóż, ponieważ to hipotetyczne, jak się później okazało, jezioro, określane przez ojca kartografii polskiej z XVII wieku, Wapowskiego, jako „bagna amadockie“, było w świetle nowszych przedwojennych badań współczesnego kartografa krakowskiego, K. Buczka, niczym innym, jak Błotami Poleskimi, które sąsiadują z Puszczą Białowieską, nie ulega przeto wątpliwości, że odtworzone w Puszczy Białowieskiej koniki bielejące zimą odtwarzają równocześnie te dzikie białe konie leśne (tanpany leśne), o których pisał Hierodot, a które dla zoologów i innych przyrodników przedstawiały dotąd zagadkę nie ładu.

Z wymienionych wyżej 40 koników przedwojennych przetrwało po dzień dzisiejszy w zwierzyńcu Puszczy Białowieskiej zaledwie 5 sztuk, w czym 1 drugorzędny ogierek i 1 stara, mniej wartościowa klacz z materiału wyjściowego, oraz 3 cenne klacze z przychówku roku 1939. Resztę tych koników spotkały lo-

sy następujące: 20 wywieźli Niemcy, 9 padło lub zostało zgładzonych, 4 zaginęły na razie bez śladu, (są być może po stronie sowieckiej), 2 dostały się podczas wojny w ręce prywatnych nabywców z okolicy Białowieży.

Poza tym były i wśród koników naturalne przybytki z urodzenia w latach 1940—1945 oraz różne ubytki z prychówku tych lat, których dokładne ilościowe ujęcie wymaga gruntowniejszego jeszcze zbadania, dla wyświetlenia pewnych niejasności.

Znaczna śmiertelność nowo narodzonych źrebiąt (w pierwszym tygodniu ich życia), jaka na terenie naszego zwierzynca miała miejsce w roku 1941, za czasów administracji sowieckiej, po raz pierwszy od istnienia tego zwierzynca, a która zmiotła wówczas ponad 50% całego prychówka z tego rocznika z powodu biegunki źrebiąt (colibakcyloza), pozostawała w dużej mierze w związku z ówczesnym „grzechem przeciw naturze“, trzymania klaczy, mających rodzić, na kilka tygodni przed oźrebieciem i w okresie oźrebień, w oddzielnych klatkach, od czego na łonie Puszczy zdołały już one odwyknąć, albo do czego nie były przyzwyczajone, w warunkach tamtejszej półdzikiej hodowli.

Niemcy wywieźli z Puszczy Białowieskiej w trzech ekspedycjach łącznie 32 najprzedniejszych okazów, a mianowicie z materiału przedwojennego 20, resztę, tj. 12 sztuk, już z prychówka wojennego.

Tak wyglądała opieka niemiecka na terenie Puszczy Białowieskiej w odniesieniu do zwierzynca koników, którą można jeszcze uzupełnić innymi „przejawami zainteresowania“ niemieckich miłośników zwierząt i przyrody dla naszych koników, jak konsumowanie mięsa chorych (czy naprawdę chorych?) i dobijanych z tego powodu sztuk, oraz użytkowywanie ich cennych przegowanych skór, nadających się do zbiorów muzealnych, na prywatne cele odzieżowe niemieckich „Revierforsterów“.

Natomiast administracja sowiecka, zarówno w latach 1939 — 1941, jak i po wyparciu Niemców z Puszczy Białowieskiej w połowie lipca 1944, darzyła zwierzyniec koników nie mniejszym zainteresowaniem i nie mniejszą opieką, niż zwierzyniec żubrów, a także Muzeum, Park Narodowy i inne obiekty i urzą-

dzenia naukowe Puszczy Białowieskiej. Sprowadzała ona na jej teren naukowców i studentów, oraz unajdowała kursy leśne.

Obecny stan liczebny koników rezerwowych, powiększony po stratach i ubytkach wojennych przez resztki prychówka z lat 1942—1945, wynosi w tej chwili 15 sztuk, w czym 4 ogierki i 11 klaczek.

Jakkolwiek brak wśród nich wielu cennych osobników przedwojennych, a zwłaszcza męskich potomków ogierków tej klasy, co nieżyjące już dziś Liliput i Tref, da się niewątpliwie odczuć, przecież, na drodze odpowiedniego doboru pozostałych niedobitków, można — zdaniem moim — oczekiwać dalszych postępów na drodze ku regeneracji tarpana leśnego w Puszczy Białowieskiej. A miejmy nadzieję, że zamierzona akcja rewindykacyjna, zmierzająca do odzyskania z powrotem szczególnie wartościowych koników, wywiezionych przez Niemców z Puszczy, choćby tylko częściowym została uwieńczona skutkiem, wzmocni podstawy naszej dalszej pracy, podejmowanej obecnie i że będzie on służyć, jak dotąd, rozbudowie zapisanego już w literaturze polskiego dorobku naukowego.

Muzeum Przyrodniczemu Puszczańskiemu i jego niestrudzonemu twórcy i dyrektorowi poświęciłem już powyżej krótkie wzmianki, ale być może, że nawet nie jeden z naszych przyrodników nie wie dotąd o tym, że muzeum to, jego zbiory przyrodnicze i biblioteczne, to cenny i niewątpliwie nie dość doceniany i naukowo wyzyskany dotąd, warsztat pracy naukowej, w którym przyrodnik, interesujący się problemami zespołów flory i fauny puszczańskiej, oraz w szczególności biologią lasu, znajdzie niewątpliwie wiele cennych materiałów do wzbogacenia, uzupełnienia i pogłębienia swej wiedzy.

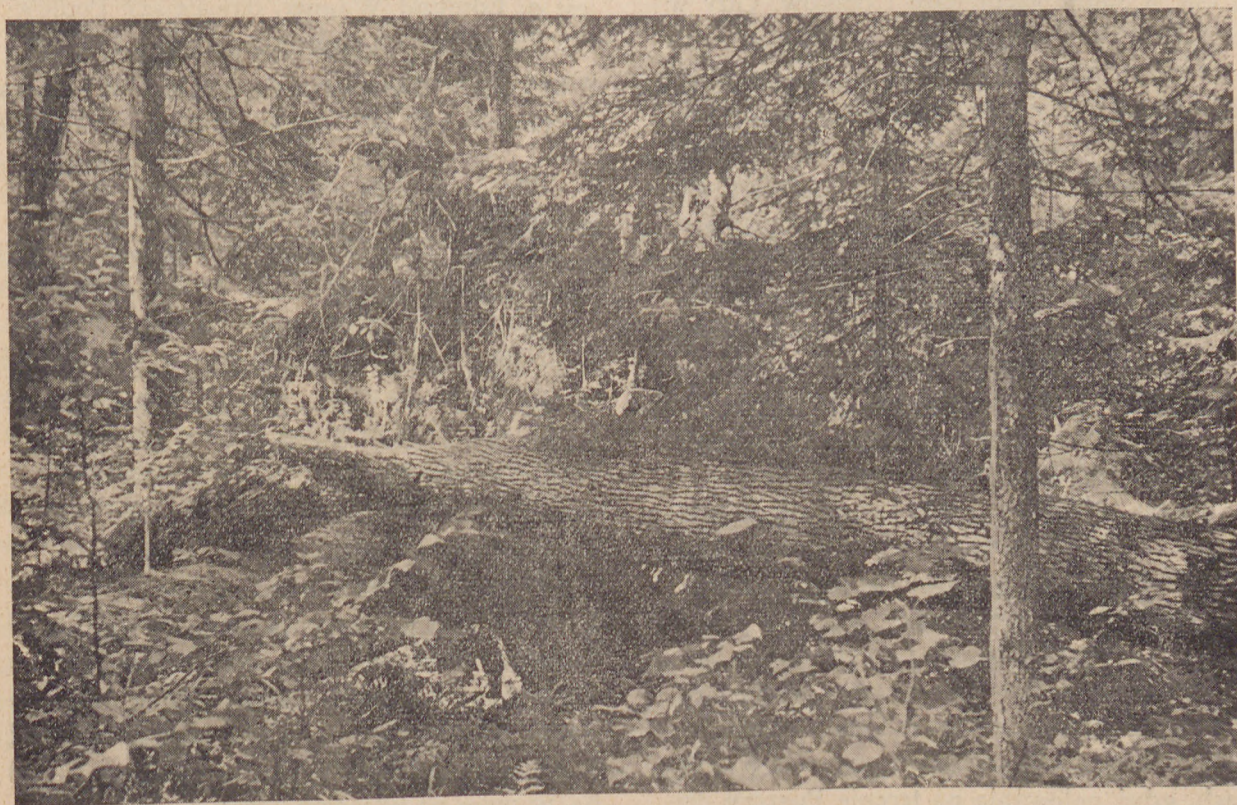
To też obecni gospodarze Puszczy Białowieskiej już dziś zabiegają usilnie o to, by dla dobra i pożytku tych, którzy zechcą znowu — po latach wojny — kierować swe kroki do Białowieży, celem konsumowania z jej bogactw przyrody i urzędzeń naukowych, zostały na czas usunięte ślady uszkodzeń wojennych ze ścian i sufitów gmachu muzealnego, tak, by żaden spóźniony remont nie zakłócał potem ciszy, żądnym wiedzy.

Dla najogólniejszej orientacji w obecnym stanie ilościowym okazów muzealnych i zbiorów bibliotecznych Muzeum Przyrodniczego Puszczańskiego, niechaj posłużą następujące dane liczbowe: płazy: 5 gatunków, reprezentowanych przez 5 okazów, gady: 3 gatunki — 5 okazów, ryby: 16 gatunków — 16 okazów. ptaki: 183 gatunki — 527 okazów, szkielety ptaków: 5 gatunków — 5 okazów, gniazda ptasie: 9 gatunków — 13 okazów, jaja ptasie: 145 gatunków — 376 okazów, ssaki: 41 gatunków — 110 okazów, szkielety ssaków: 7 gatunków — 11 okazów, czaszki ssaków: 6 gatunków — 12 okazów, rogi i zrzuty: 2 gatunki — 16 okazów, nadto liczne albumy pięknych i pouczających zdjęć fotograficznych, oraz 2 mapy plastyczne i turystyczne z r. 1938 i in. Biblioteka muzealna obejmuje 1103 dzieł i 100 czasopism.

Oddzielne laboratoria, podlegające podobnie jak i opisane Muzeum Przyrodnicze Puszczańskie, Oddziałowi Instytutu Badawczego Leśnictwa w Białowieży, a mianowicie Laboratorium Biologiczne i Bakteriologiczno-

Łowieckie, pomieszczone na terenie Botanicznego Parku Pałacowego, liczącego 50,11 ha powierzchni, w tzw. „Domu Marszałkowskim”, przedstawiają specjalne warsztaty pracy naukowo - badawczej. Są one wyposażone w osobną bibliotekę fachową i składa się na nie szereg małych sal i pokoi, służących już to jako pracownie kierownika i pomocniczych sił naukowych, już to do badań i prac specjalnych, jak np. bakteriologiczna, sekcyjna, preparatów i zbiorów, oraz inne pomocnicze. Laboratoria te rozporządzają również pomieszczeniem do hodowli małych zwierząt doświadczalnych, lodownią, oraz krematorium do palenia zwłok padłej zwierzyny łownej, a naczelnym ich zadaniem jest stała opieka nad zdrowotnością zwierzyny puszczańskiej, ze szczególnym uwzględnieniem zwierzyny rezerwatowej.

Wprawdzie Dom Myśliwski, obejmujący schludne i zaciszne pokoje gościnne jest obecnie jedynie w połowie tylko umeblowany i brak w nim jeszcze materaców i dostatecznej ilości pościeli, przecież jednak gościnni gospo-



Białowieża. W lesie po burzy.

Fot. Zofia Chomętowska.

darze, pragnący widzieć w Puszczy jak najszersze zastępy przyrodników i miłośników przyrody, umieją tak jakoś wyrównywać te chwilowe braki, że się ich nie czuje, a doprowadzony już do stanu używalności stary Dworek Myśliwski z r. 1845, służący przed wojną za pomieszczenie kasyna myśliwskiego i restauracji pozwala żywić nadzieję, że w przyszłości także dzisiejsze trudności aprowizacyjne w Białowieży, związane niewątpliwie z obecnymi zmianami granicznymi i trudnościami komunikacyjnymi, zostaną usunięte, tak, iż nasza uroczą Puszcza Białowieska będzie się mogła znowu zarość od miłośników przyrody i otworzyć przed nimi, na nowo, niezgłębianą skarbnicę swych tajemnic i bogactw.

Co się tyczy obecnego stanu zwierzyny łownej na terenie Puszczy Białowieskiej, to trudno dziś jeszcze, zwłaszcza wobec biegnącej przez Puszcę granicy, operować jakimiś konkretniejszymi danymi. Można jedynie ogólnie powiedzieć, że na tym odcinku straty są wielkie i to zarówno na skutek samych działań wojennych, jak i w szczególności rozwielnionego kłusownictwa. I tak, z zaczerpniętych w Białowieży danych wynika, że największe są one w stanie jeleni, sarn i dzików. Gdy w roku 1939 liczebny stan tych zwierząt wynosił w przeliczeniu na teren Puszczy, będący obecnie w naszym posiadaniu, dla jeleni 1000 sztuk, dla sarn 2200, dla dzików 1200, dzisiaj, (stan z 1.X.1945), wynosi on zaledwie, co następuje: dla jeleni ca 140, dla sarn ca 350, dla dzików ca 300 sztuk. Także łosie zostały wybite: Przed wojną było ich 9, po objęciu obecnej części Puszczy w polskie władanie notowano 1 rogała i 1 kłempę z łoszakiem, a obecnie są wiadomości już tylko o jednym rogału. Niedźwiedzi było przed wojną 4, obecnie znajdują się na terenie naszej Puszczy, w Parku Narodowym, również 4 sztuki, (1 miś, 1 niedźwiedzica i 2 piastuny), brak natomiast przychówku z lat wojennych. Równie głuszcze mocno ucierpiały w latach dzielących nas od wybuchu wojny. Przed wojną było ich 230, dziś jest ich ca 65, w czym 15 samców.

Mocno rozmnożyły się natomiast wilki i rysie, na które wypadnie chyba myśleć o obławach, gdyż polowania na terenie Puszczy dzisiaj w grę nie wchodzi. I tak stan rysia jest mi-

mo wojennych ubytków niezmienny (ca 40 sztuk), stan wilków, których przed wojną było 30, miał się nawet potroić. Co do innych zwierząt i ptaków: Lisów było 200, jest ca 250, borsuków było i jest 20, wydr było 15, jest 10, kun było i jest 150, tchórzy było 150, jest ca 100, cietrzewi było 100, jest ca 50, wreszcie jarząbków było 1500, jest ca 1000.

Na teren Puszczy, do rzeczki Sołominki, płynącej dziś za granicą, wprowadziły Sowiety podczas wojny pierwszego bobra, o którego losach brak obecnie bliższych danych.

Dochodzą do Białowieży słuchy, jakoby na terenie Puszczy Białowieskiej miały ukazać się jakieś bliżej nie określone, a nie znane gajowym zwierzęta; nie jest przeto wykluczone, co atoli wymaga sprawdzenia, że być może Niemcy wprowadzili do Puszczy podczas swej okupacji pojedyncze okazy regenerowanych przez Hecków „turów“.

Budynek przedwojennego Inspektoratu Łowiectwa, na terenie botanicznego parku pałacowego, spłonął w roku 1940 przypadkowo, za czasów administracji sowieckiej. Urząd Inspektoratu Łowiectwa został zastąpiony obecnie przez urząd Łowczego Puszczy, którym jest p. Edmund Wagner, dawniejszy Podłowczy Puszczy, z lat poprzedzających poprzednią wojnę światową.

* * *

Ale co z samą Puszcą Białowieską? Co pozostało z niej obecnie przy nas? Co tracimy?... Oto zasadnicze pytania związane z tytułem tego artykułu.

Przed 1 września 1939, obejmowała Puszcza Białowieska przedstawiająca największy obszar leśny na nizinach Europy Środkowej, łącznie z Puszcą Świsłocką (przedwojenne Nadleśnictwo Oszczep) obszar 128.400 ha, a w połączeniu z sąsiadującymi puszciami Ładzka i Szereszewska obszar 143.000 ha.

Ponieważ obecnie sowiecka Republika Białoruska objęła w posiadanie około 72.000 ha tego obszaru Puszczy, w czym 35 ha wschodniego skrawka naszego Parku Narodowego, (którego powierzchnia wynosiła przed wojną 4.674,80 ha), przeto reszta, tj. ca 70.000 ha, w czym na właściwą Puszcę Białowieską przypada ca 60.000 ha, pozostaje przy nas.

Najmniejsza odległość z Białowieży do obecnej granicy wynosi niespełna 2 km.

Tracimy w całości następujące przedwojenne nadleśnictwa Puszczy: Jaźwiny, Nikior, Królewski Most, Jasień, oraz nadleśnictwo Oszczep Puszczy Świsłockiej, a z części o w e zaś straty dotyczą nadleśnictw: Browisk, Ozoło, Białowieża, Leśna Jagiellońskie i Biała. Straty nasze obejmują zatem połowę Puszczy o przewadze borów, zwłaszcza sosnowych, oraz tak ważne źródła wyżywienia zwierząt rezerwatowych, jak łąki uroczyska Nikior nad Narewką, oraz nad rzekami Przełoką i dolnym biegiem Leśnej, uchodzącej do Bugu.

Pozostają przy nas głównie lasy mieszane, charakterystycznych dla Puszczy typów, a więc grabowo - mieszane grondy i położone niżej olchowo - mieszane olsy.

Utrata w Parku Narodowym wschodniego jego skrawka pociąga za sobą, pominiawszy wszystkie inne następstwa bezpośredniego sąsiedztwa granicy, nieuniknione powstanie tzw.

martwego pasa, równoznacznego z dalszą redukcją terenu.

Sam Park Narodowy, owa przed wojną najdosłowniej nietykalna rezerwatowa część Puszczy, niejako jej świętość, do której wkracza się z pietyzmem, poniósł na szczęście podczas wojny jedynie tylko znikome straty, tracąc pojedyncze drzewa, w większości suszki, w łącznej ilości szacowanej okrągło na ca 700 m³ masy drzewnej.

A chociaż na terenie Puszczy rozwieliżono się na skutek wojny kłusownictwo i spolegowało się grabieże leśne, przecie zaciągnął tam już swe strażę ofiarny leśnik polski, który, choć słabo i niedostatecznie uzbrojony, przecie z narażeniem życia nadstawia swą pierś w obronie Puszczy.

Bo dla polskiego leśnika i miłośnika przyrody ojczystej, Puszcza... to jak gdyby Matka..., którą się kocha, za którą się tęskni, i dla której życie nawet chętnie składa się w ofierze.

Prof. Dr. Tadeusz Vetulani.

JEZIORO ROŻNOWSKIE

Oddawna pragnęłam poznać jezioro Rożnowskie, to też projekt urządzenia wycieczki członków Zarządu Polskiego Zw. Kajakowego do Rożnowa ucieszył mnie bardzo.

Jedziemy autem przez Mysłowice i Nowy Sącz. Droga wiję się podgóorską okolicą, wspina serpentynami na wzgórze, a oczy moje wchłaniają piękno panoramy podgóorskich miejscowości, krętego, kamienistego biegu Raby, cichych dolin wśród wzgórz załesionych i niecierpliwie czekają na widok jeziora. Po drodze mijamy cłapiący się powoli pociąg do Marcinkowic, jedyne połączenie Rożnowa ze światem.

Za Nowym Sączem, nareszcie, ukazuje się skrawek jeziora, i zaraz ginie, ale wjeżdżamy na piękną autostradę, idącą prawym brzegiem do zapory rożnowskiej, i jezioro ukazuje się nam w całej pełni.

Jest letnie, upalne popołudnie. Na jeziorze panuje cisza. Błękitnej toni nie marszczy żaden powiew, na autostradzie nikt nas nie mi-

ja, nie spotykamy żadnego auta, żadnej fury, żadnego nawet człowieka.

Niema gwaru ludzkiego, niema żadnego ruchu, choć to sobotnie popołudnie.

W tej ciszy jezioro jest przedziwnie piękne i to było najsilniejsze wrażenie, jakiego tam doznałam. Dostojna cisza.

Dojeżdżamy do wsi Kobyle, gdzie mieści się siedziba Komisji Międzyuczelnianej W. F. Krakowskich Szkół Akademickich, która w tej chwili gospodarzy nad jeziorem.

W piętrowej willi, na górze, są biura Komisji, parter zajmuje krakowski oddział Ligi Morskiej, której oddano również duże hangary na łódzie.

Alle hangary nie są zapełnione. Widziałam dwie żaglówki i kilka kajaków. Liga Morska prowadzi tu kurs żeglarski, nad jeziorem kręci się kilka osób.

Dalej ma swą siedzibę krakowska YMCA. Na boisku kilku chłopców „kopie”. To wszystko.

Zatrzymujemy się na nocleg.

Jezioro Rożnowskie zaczyna się (koło Marcinkowic, a kończy przy zaporze i ma około 25 km. długości. Powstało ono na skutek zahamowania przez zaporę biegu Dunajca i zalania jego doliny, poniżej Nowego Sącza.

To też brzegi jeziora są tak poszarpane, jak nierównym był zalany teren. Woda wcisnęła się w wąwozy leśne i polne dolinki, tworząc zatoki i zatoczki, które są jednym z uroków jeziora.

W kilku miejscach przerzucono przez nie mosty autostrady, ale brzegów ich nie znaczy prawie nigdzie ślad ludzkiej stopy. Nie wydeptano tam jeszcze ścieżek.

W wielu miejscach wysokie, zalesione brzegi schodzą do samego jeziora, gdzieindziej kępy starych drzew ocieniają jego toń, a tu i owdzie, przylepiona do zbocza, trwa mała chałupka. Kilka drzew wiśniowych — resztką sadu, parę słoneczników i trochę bobu i kilkanaście snopków żyta na poletku, schodzącym z boczem do samej wody.

To resztką zalanej fortuny. Gospodarz trwa, bo nie uregulowano z nim jeszcze sprawy odszkodowań.

Takich skrawków i takich gospodarzy jest więcej i nie znajdziesz u nich zrozumienia ani życzliwości dla spraw, które dla nas są ważne i celowe, to też dla dobra przyszłości jeziora Rożnowskiego należałoby ten posmak krzywdy jaknajprędzej zlikwidować.

Dla potrzeb ludzkich ofiarą padło ludzkie mienie.

Ale na dnie jeziora leży prawdziwa krzywda. Krzywda Dunaica.

Ten wolny, piękny, nieokiełznany i bezkarany król Pienin, o nurcie szalonym i pełnym niespodzianek został ujęty w karby wolą człowieka.

Gdy nazajutrz, przy zaporze zobaczyłam go, wychodzącego z jeziora ocembrowanym korytem, zrobiło mi się strasznie smutno.

Z Rożnowskiego dworu zbiegłam z boczem na brzeg Dunajca, kilka zaledwie zakrętów poniżej zapory. Dunajec żyje, nabiera sił i fantazji. Oby to była ostatnia jego krzywda.

Na jeziorze jest jedna wyspa — wielki zadrzewiony kopiec. Jedziemy tam motorówką o zmroku. Wyspa jest czarodziejskim zakątkiem. O brzegach urwistych, wysokich, w jed-

nym tylko miejscu dostępna do lądowania, gęsto zadrzewiona i zarośnięta krzakami. Są na niej ślady drogi i ślady ścieżek.

Jest projekt zrobienia z niej rezerwatu przyrody, a pieczę nad nią objął Polski Związek Kajakowy.

Nazajutrz rano jedziemy do zapory, piękną, wijącą się pod górę drogą. Na tym odcinku brzegi i widok na jezioro są najpiękniejsze, wysokie i gęsto zalesione.

Prastare sosny i świerki schodzą do samej wody, niemal w niej rosną, a szmaragdowa toń jeziora przypomina małe jeziorzka szwajcarskie.

Zapora — imponujące dzieło umysłu i rąk ludzkich, jak dobrze że została niezburzona.

Ale celem naszym jest dwór i ośrodek rożnowski. Połą, ubitą, wąską drogą, wijącą się ostrą serpetyką wspina się nasze auto na sam szczyt wzgórza. Stoi na nim, w cieniu prastarych drzew, dwór rożnowski.

Dzisiaj właśnie przejmujemy dla Polskiego Związku Kajakowego ośrodek Rożnow od Komisji Międzyuczelnianej W.F. Krakowskich Szkół Akademickich. Dom jest zniszczony, park opuszczony i zarośnięty, ale wszystko tu mówi o świetnej przeszłości i resztki malowideł na ścianach pałacu i rzadkie okazy starych drzew i ślady pięknego zajazdu.

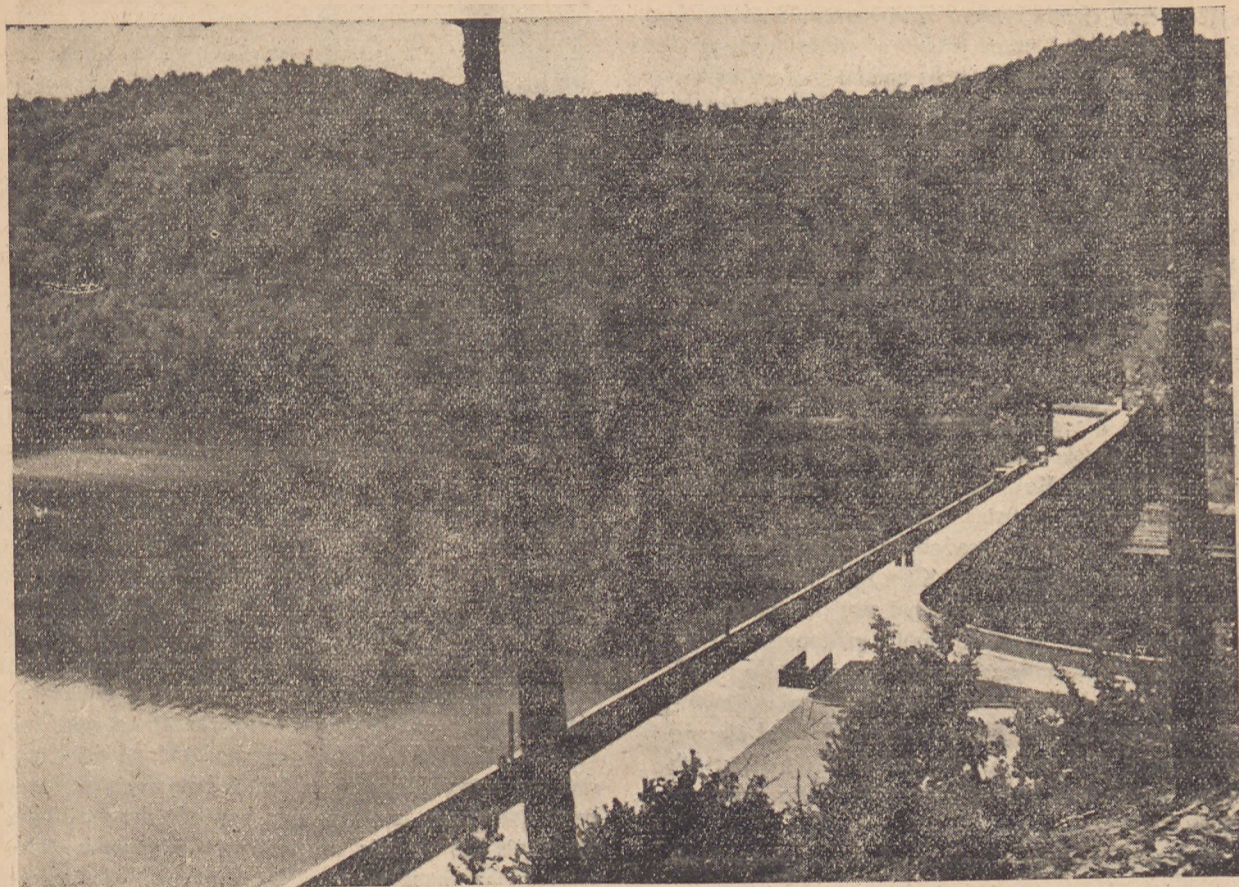
Zużytkujemy tu wszystko dla przyszłości. Otwieramy tu pierwsze okno na całą Polskę, otwieramy pierwsze drzwi dla wszystkich sportowców i turystów wodnych. Tu P.Z.K. stworzy wzorowy ośrodek wyszkolenia, tu będzie punkt oparcia dla turystów kajakowców, tutaj nauczymy młodzież ukochać wodę i czcić piękno przyrody.

Z Rożnowa jest zejście do jeziora i nad Dunajec.

Wracając, dyskutujemy nad przyszłością jeziora Rożnowskiego.

Teren wymarzony dla letnich i zimowych sportów wodnych, teren odpowiedni na zawody międzynarodowe. Czy spełni rolę ośrodka tych sportów? czy w ciszy swej i skupieniu wychowa ludzi mocnych, zdrowych moralnie i wierzących w piękno istnienia, czy też zaleje go fala letników i zaśmieci wrzaskliwa ludność wielkich miast?

Maria Podhorska Okolów.



Zapora i jezioro Rożnowskie.

Fot. J. Kurkiewicz, Kraków.

Z WSCHODNIEGO POMORZA

(Dokończenie).

Nie zaspodarujemy Ziemi Odzyskanych niezorganizowanym wysiłkiem. Gdy w grę wchodzi miasto, czy wieś, muszą przyjść, jak to miało miejsce w każdej poważnej akcji osiedleńczej, zorganizowane grupy ludzi. Nie zaludni pustej ziemi samotny osadnik. Wzory przeszłości powinny uczyć. W średniowieczu środowiskami pracy w pustkowiu były zespoły ludzi zorganizowanych w klasztory; w czasach nowożytnych najczęściej wzorów daje nam Ameryka, są tam dokonania na miarę Salt Lake City, gdzie ideowa grupa przez nawodnienie tego, co pierwaj było słoną pustynią, stworzyła kraj kwitnących sadów; zorganizowanymi grupami były wielkie kompanie kolejowe, które stworzyły osadnictwo Stanów Zjednoczonych i które dziś jeszcze są stołem pacierzowym osadnictwa w Kanadzie. Wnioski z rozległych doświadczeń mówią, że wszędzie, gdzie się osadnictwo powiodło, miało ono ten sam twardy grunt pod nogami. Nawet w wypadku kolonizacji Australii, którą oparto o grupy przestępców zesłanych na osiedlenie — wszędzie u podstaw powodzenia tkwi działanie zespołu. Im bliższe wężły kulturalne między członkami grupy osad-

niczej, tym praca pójdzie składniej i raźniej dla danej grupy.

Warunkiem najważniejszym prawidłowego zaludnienia ziem odzyskanych jest stworzenie sieci grup ludzkich silnych organizacyjnie, kulturalnie i gospodarczo. Rolą osadnika indywidualisty, owego rolnika trapera, będzie wypełnienie pustych przestrzeni między tymi twierdzami. Nie ludźmy się, że jakkolwiek pionier będzie mógł dać sobie radę bez punktów oparcia, choćby go indywidualistyczne skłonności od nich odstręczały. Najjaskrawszy przykład zdawałoby się indywidualistycznej pracy osadnika — polskie pionierstwo w Ameryce Południowej — jako tło miało zawsze gromadę; marnotrawstwo sił i środków stało tam w bezpośrednim stosunku do stopnia organizacji gromady.

Spółdzielnia społeczno - gospodarcza w Nowym Kościele jest zaczątkiem pierwszego ośrodka oparcia w zakresie osadnictwa rolnego na Warmii. Ośrodków o podobnych założeniach powinny powstać setki na całości Ziemi Odzyskanych. W środowisku Nowego Kościoła psychika przedwojennego turysty doznaje zalamania. Namiętność krajoznawcza milknie. Prześla-

dujące przed chwilą widmo konieczności dotarcia do Zalewu Wiślanego, przez jeden z cudów okolicy — serpentynę nad Kadiną, zostaje zatarte przemożną ciekawością: jak wygląda nowozałożony kurnik, inwentarz od U.N.R.R.'y, ile zasiano, czy założono warzywnik. Postawiono sobie tu zadanie zagospodarowania 2 tys. hektarów, na które składają się dwie wsie: Nowy Kościół i Sukazy. Ów drugi ośrodek leży nad samym Zalewem Wiślanym; stwarza możliwości uzupełnienia działalności rolniczej rybołówstwem. W Sukazach są złoża ilów późnolodowcowych, w oparciu o nie istniał tam przemysł ceramiczny.

Dążeniem spółdzielni jest zorganizowanie całokształtu ram dla życia kulturalnego i gospodarczego członków. Uruchomiono sklep spółdzielczy w Tolkmicku; w Nowym Kościele — warsztaty rzemieślnicze: piekarnia, pralnia, krawiec, szewc, ślusarz i kowal obsługują już potrzeby osadników. Grono członków spółdzielni jest jeszcze nikłe. Ci z nich, którzy już się zakorzenili, zaczynają sprowadzać swoje rodziny.

Zadania, leżące przed tą garstką pińczowsko - miechowskich krajanów, przekraczają ich chwilowe możliwości. Leży do uprawy ok. 2000 ha. ziemi, rybołówstwo, przemysł ceramiczny, rzemiosło i handel. Trzeba przynajmniej 400 rodzin, aby zaludnić ulice pustych domów, uruchomić hodowlę, przerób mleka, warzywnictwo.

Rozległe nieobsiane pola naokoło, a nieraz brak żywności, zwłaszcza mięsa i tłuszczów, dają się we znaki. Charakter wsi świadczy o tym, że głównym kierunkiem działalności rolniczej była tutaj hodowla. W szachownicę pól przeważają pastwiska podzielone ogrodzeniem z drutu na kwatery. W każdej z opuszczonych zagród uderza rozległość pomieszczenia dla inwentarza żywego. U wjazdu do wsi stoi duża mleczarnia, połączona z serownią, o napędzie częściowo elektrycznym, częściowo parowym z wykorzystaniem urządzeń leżącego opodal tartaku. Budynek stoi, urządzenia są tylko lekko uszkodzone; kilka lat minie i z pewnością zakład będzie w ruchu. oby z pełnym wykorzystaniem urządzeń, pozwalających przerobić ładnych kilka tysięcy litrów mleka dziennie.

We wsi jest jeszcze kilkanaście rodzin niemieckich. Sądząc po nich, to Niemcy w przemianie, która nastąpiła, załamali się całkowicie; w osobistym zanedbaniu cofnęli się o kilkaset lat wstecz. Wobec opustoszenia wsi i ucieczki ze zburzonych miast, wskutek zupełnego braku odorności Niemców na nowe bardzo ciężkie warunki bytu, można zaryzykować twierdzenie, że problem niemiecki na Warmii nie istnieje.

Istnieje tylko problem tworzenia mocnego kulturalnie i gospodarczo rusztowania zorganizowanych środowisk. Automatyzm wielkiego polskiego zaplecza, napierającego swym wielomilionowym ciężarem ku morzu, dokona reszty, aby przywrócić Warmii jej prawdziwe dawne oblicze.

A nie jest ono bynajmniej równie wesołe i słoneczne, jak owe pagórkowate pińczowskie i miechowskie podkrakowskie strony. W gorące majowe południe



Widok na Zalew Wiślaną z serpentyny nad Kadiną.
Wł. Instytutu Bałtyckiego.

wypelza naraz od Zalewu Wiślanego mgła. Robi się zimno i ponuro. Przez zapacające się w sfoferce Dodge'a szyby zarysowują się pokryte lasami wzgórza. Pomiędzy nimi rzadziej pola, częściej pastwiska. Tu i owdzie stoi niewymłócona od 1944 roku sterta zboża; na ścierniach, jak w żniwa — niesprzątnięte szczerńnię snopy zboża, przywałowane zimowymi opadami ku ziemi. Zieleń krajobrazu przechodzi chwilami w odcień czarniawy. Klakson trąbi na jedyny zaprząg, spotkany dotychczas na trasie. Na krawędź drogi zjeżdża niechętnie drobny wóz, zaprzężony w mierzynka - tarpiana z charakterystyczną „dugą“ nad obfitą zmierzwioną grzywą. Woźnica wznosi bat ruchem ręki, jakby miał uczynić znak krzyża świętego. Ubrany w płowy samodziół, na głowie coś w rodzaju maciejówki. Między drzewami miga tafla Zalewu Wiślanego z zamgloną na horyzoncie linią lasu mierzei Wiślanej. Czyżbyśmy byli nad Naroczą?

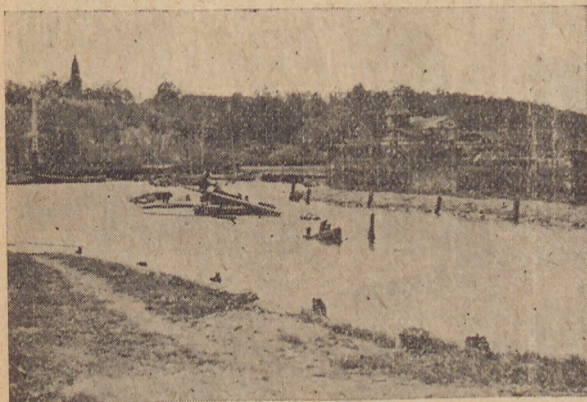
Złudzenie zostaje natychmiast rozwiane widokiem doszczętnie zburzonego i wypalonego Fromborka. Czerepy domów i ulice zięjące pustką przypominają opowieść Kiplinga z książki dżungli o zwaliskach miasta, w którym bezzębny okularnik strzegł skarbów rozsypanych w podziemiach. Tyle, że niema węża okularnika, jest natomiast sympatyczny podporucznik z Wojskowej Ochrony Pogranicza, sprawujący straż obok, kiedyś pełnej uroku, — rybackiej przystani — dziś zapełnionej wrakami łodzi. Na wzgórzu nad miastem króluje w całej nietkniętej okazałości jedyna bodaj ocalała budowla, nawa katedry biskupstwa Warmińskiego. A tam w jej murach leżą rozsypane skarby. Pod przepięknym późnogotyckim sklepieniem rzędy ołtarzy z obrazami wysokiej nieraz wartości artystycznej. W potężnych murach tablice pamiątkowe i nagrobki o samych polskich nazwiskach. W podziemiach katedry pootwierane trumny ze z mumifikowanymi zwłokami członków kapituły — w zakrystii walają się na ziemi strzępy złotem tkanych brokatów szat liturgicznych. Wiatr uderza odrzwiami katedry, jakby chciał wyrwać płótna z ram ołtarzy, tam gdzie nie zostały one jeszcze skradzione. Naokoło cmentarza okalają katedrę rzędy budynków kapitulnych, czy po klasztornych. Część z nich spalona. Związane są one

basztą, ziejącą przez okna zawalonym wnętrzem. Może właśnie z płaskiego szczytu owej wieży Kopernik uczynił swoje wiekopomne odkrycie.

W jednym z budynków mieściło się muzeum Kopernika. Nikt nie może poinformować, bo żywej duszy nigdzie nie ma. W poszukiwaniu śladów przeszukujemy wnętrze nawprost wejścia do kościoła. Dwa piętra pokoi o belkowanych stropach pełne są książek rozrzuconych i wytryskujących fontannami z rozbitych skrzyń, jak owe skarby w podziemiach pałacu z księgi džungli. Okna osłonięte są firankami, zrobionymi ad hoc z okładek voluminów o większych rozmiarach. Pod nogami trzeszczą pękające negatywy fotograficzne. Ręka sięga po jedną, drugą książkę, podnosi w półmroku klisze. Są to wszystko masy zbiorów seminarium archeologicznego uniwersytetu w Królewcu. Roczniki archeologii w języku angielskim, wielotomowe włoskie dzieła o sztuce wczesnochrześcijańskiej, zdjęcia reliefów starożytnych i zbiory zdjęć wewnątrz zabytków architektonicznych z Prus Wschodnich; na jednym ze zdjęć poznają dobrze linie — półmetrową reprodukcję — wnętrza kościoła Panny Marii w Krakowie. W innej izbie stoją stłoczone drewniane postacie świętków przydrożnych, rozebrane ołtarze, rzeźby i ozdoby kościelne. Z zicmi podnoszę drobiazg — mała stopa z brązu — pieczęć, z napisem „Fufiae Verissi”. Gdyby ta stopa na pierścieniu o grubej patynie mogła opowiedzieć, jakimi drogami przywędrowała tutaj ze starożytnego Rzymu, kim byli owi najprawdziwsi!

Pieszczęc czule stopkę Fufii udaję się na pożegnanie do miłego podporucznika. Nie jest on bezzębny, niema okularów ani kaptura, jest ślicznym chłopakiem, aż żal go na tym odludziu. Podoficer na wartowni zapisuje mozolnie imiona taty, mamy, miejsce urodzenia, ogląda legitymacje i delegacje, pióro syczy po papierze jadem wyschniętego kalamarza, zapoczątkowując nową kronikę Warmijskiej stolicy.

Między Fromborkiem i Tolkmickim skaczymy raz poraz całym ciężarem Dodge'a w znane już wyrwy na równym asfalcie. Przy ostatniej, dosłownie najgłębszej, otwiera się znicznacka znowu widok na Zalew Wiślany. Droga splywa łagodnie między kopulastymi pa-



Frombork. Przystań. Na wzgórzu pomnik Kopernika. Wł. Instytutu Bałtyckiego.

górkami. Migają naprzemian to tafla zalewu, to kwitnące drzewa owocowe w zieleni dolinek. Dzisiaj zalew jest błękitny; w majowym słońcu ma blask południowego morza. Wczoraj przy chmurach i wietrze miał burą barwę, tak jak Wisła gdy ma wodę zmaconą. Wietrzyk przynosi wyjątkowo silny zapach jodu, chwilami aż wierci w nosie. Istotnie w Zalewie następuje ciągle mieszanie się wody słodkiej pompowanej przez Wisłę z wodą słoną, którą wiatry wganiają przez cieśninę Piławską. W strefie mieszania się wód następuje masowe obumieranie i rozkład glonów zarówno słodkowodnych jak i wymagających wyższego stopnia zasolenia. W całym Zalewie z wyjątkiem samej cieśniny Piławskiej głębina nie przekracza 5 metrów. Wiatr, poruszając wodę, powoduje obfite wydzielanie woni rozkładającej się roślinności. Tu w okolicy Tolkmicka osłonięty od wiatrów lądowych brzeg Zalewu jest sadem Elbląszczyzny. Od niepamiętnych czasów wożono stąd owoce, zwłaszcza wiśnie, statkami do Gdańska i Królewca. Stare kroniki wspominają o winnicach — w tej okolicy. Bezpośrednio przed wybuchem wojny powstała w Tolkmicku fabryka przetworów owocowych; mimo że rok 1939 przerwał rozbudowę, jest ona w stanie przerobić ok. 40 ton surowca dziennie. Zbudowano ją prawdopodobnie dla przetwarzania surowca miejscowego; podczas wojny Niemcy sprowadzali najszlachetniejsze owoce z wszystkich okupowanych terenów; świadczą o tym walające się do dziś w obejściu fabryki pestki owoców południowych, brzoskwiń i moreli. Fabryka jest w zarządzie „Społem”; trafiliśmy na chwilę przygotowania do startu. W jasnej hali fabrycznej zwisają od pułapu mosiężne kuliste zbiorniki. W jednym z nich zamiast marmelady, jakby z kosza balonowego, uśmiecha się dziewczyna czyszcząc napoly już lśniące wnętrze odchyłonej pokrywy. Pod progiem wytwórni wyładowywano z wagonów beczki z pulpą owocową — dwie pękły; trudno było oprzeć się pokusie skosztowania, czerwona pulpa pachniała czerwonymi buraczkami, biała — wręcz pastewnymi. „Społem” sprawi, że kiedyś będą tu zajeżdżać nociagi, pachnące jabłkami i morelami.

W Tolkmicku, tak jak w Fromborku, jest pełna uroku i wraków przystań rybacka. Widok na nią z końca mola jest miniaturka: małańki port o perspektywie przedłużonej w amfiteatr zielonych wzgórz z stojącym w środku na ich tle starym gotyckim kościołem o zużytej czerwieni. Od majestatycznej ciężkiej budowli biegną dwoma ramionami ku zatoce, dwa rzędy wesołych jasnych domków.

Rybołówstwo na Zalewie opiera się głównie o polów ryb słodkowodnych — sandacz, lin, okoń; zdarza się nieraz, że zbłądzi tu przez wąską gardziel piławska ławica śledzi. Odbiorcą na ryby Zalewu jest dzisiaj głównie Warszawa. Zastosowany system handlowy nie należy jeszcze do najracjonalniejszych: odbiorca — oczywiście wielka centrala obrotu i przerobu, przysyła od czasu do czasu samochód 3 tonowy, który oczekuje, dopóki się nie uskłada dostateczna ilość ryb dla zamortyzowania wyprawy. Amortyzacja ta musi objąć koszt wozu i paliwa na 840 klm. oraz

kilkudniowy pobyt poza miejscem pracy 3-ch osób z personelu centrali (kierowcy wozu, pomocnika i handlowego kierownika ekspedycji). 3-go maja i po trzecim dniu postoju usklaďalo się juź 1½ tonny ryb. Bez chłodni i bez lodu z zimy — pierwsze śledziki, właŝnie z tej przygodnej 1-o majowej partii—trochę zaczeły..... „Składacz” ich znalazł dla swego kierownika wyprawy z wielkiej centrali trafne rozwiązanie: „zasyp pan je solą. Sól gnój ŝciągnie — sól pan wyrzucisz..... w Warszawie, nasypiesz pan ŝwieżej — skonsumuj”; przekonywujące machnięcie ręki; mo¿e przekonało dyrektora. Mimo to śledziki tolkwickie i tolkwicka marmelada nie stoją jeszcze na poziomie otaczającego krajobrazu.

A ten istotnie jest wyjątkowo piękny. Droga z Tolkmicka do Elbląga brzegiem zalewu biegnie przez Kadinę (dawniej włości Wilhelma II) i stamtąd wznosi się wijącymi splotami serpentyny na odcinku 2 klm. sto kilkadziesiąt metrów ponad poziom morza. Wzdłuż drogi stare brzozy i las w pełni pierwszej majowej zieleni. Między drzewami migoce co chwila niebieska przestrzeń zalewu i odległy widok mierzei Wiślanej z Łysą Górą — jednym z piękniejszych kąpielisk na Bałtyku.

Z lasu wyjeźdźamy aleją starych lip, która wznosząc się i opadając jak oddech, wiedzie brzegiem Wyżyny Elbląskiej z powrotem ku Żuławom.

A. S. Wielopolski

Z WĘDRÓWKI PO SUDETACH

Wycieczkę urlopową po Sudetach rozpoczynaliśmy pod znakiem niepewności i lęku. Na kilka tygodni przed wyjazdem z Warszawy ukazał się w „Dzienniku Ludowym” reportaż p. t. „Turystyka na kartki”. Autor opisywał trudności, na jakie napotykają wycieczki i turyści pojedynczy w Sudetach ze strony Wojsk Ochrony Pogranicza. Z opisu tego wynikało, że poruszanie się swobodne w obrębie pasa granicznego według ustalonej marszruty jest w ogóle niemożliwe, a co najmniej bardzo wątpliwe. A ponieważ znaczna ilość osoblności i pięknych malowniczych krajobrazów mieści się bądź w pasie granicznym, bądź nawet na samej granicy, jak np. najwyższy szczyt Sudetów Śnieżka, widoki na pomyślne wyniki wyprawy sudeckiej przedstawiały się dość smętnie....

Rzeczywistość jednak, jak to z dalszego opisu się okaże, sprawiła nam miłą niespodziankę.

Z Wrocławia jedziemy do Jeleniej Góry w pociągu tak natłoczonym, że dojeźdźamy do celu napół nieprzytomni ze zmęczenia. Staliśmy cały czas na jednej nodze, z trudem zmieniając pozycję, chociaż przybyliśmy na dworzec na 2 godziny przed odjazdem pociągu. Dowiedzieliśmy się od towarzyszy podróży, że już od dawna wszystkie pociągi na tej linii są stale przepełnione. Czyżby ciągle jeszcze „szaber”? Raczej nie: usilna propaganda: zwiedzajmy ziemię odzyskaną! zrobiła swoje. Cała Polska tego lata przypuściła szturm do Bałtyku i do Sudetów.

O szarej godzinie pociąg stanął w Jeleniej Górze. Przy wyjściu z dworca na ulicę widać nad drzwiami olbrzymi napis, zapraszający turystów na nocleg do domu Dolnośląskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego — Plac Bieruta 3. Chwała Bogu! Nie będzie kłopotu z noclegiem.

Napis jednak okazał się zwodniczym. Noclegu nie było tam, ani gdzieindziej, w żadnym hotelu. Wraz z nami gromada przybyszów napróżno wędrowała po całym mieście. Dopiero po północy przespaliśmy się w prywatnym mieszkaniu, przygodnie nastęczonym, na gołej podłodze

Jelenia Góra, zwłaszcza po gruzach Warszawy, wywiera wrażenie bardzo przyjemne, kojące. Pięknie położona, w kotlinie, z panoramą Karkonoszy w oddali, nie zniszczona przez wojnę, zachowała w całości zażytkowe budowle. Zwłaszcza malowniczy jest rynek, otoczony wokoło starymi kamienicami barokowymi, wśród których stoi po stronie północnej ozdobny budynek rokokowy „pod złotym mieczem”. Wejście do starego miasta zdobi brama forteczna z 1514 r.



Jelenia Góra.

Rynek i studnia Neptuna.

Jelenia Góra jako miasto powstała w w. XIII i posiada bogatą przeszłość historyczną. Świadczą o tym liczne do dziś dnia zachowane zabytki. Po drodze z dworca do miasta mijamy bardzo ładny kościół ewangelicki o założeniu krzyżowym z początku w. XVIII. Parafialny kościół katolicki jest znacznie starszy, pochodzi z w. XIV. Wysoką 70 metrową wieżę zdobi wspaniały helm barokowy. Wewnątrz artystycznie rzeźbiony ołtarz, ambona i piękny chór.

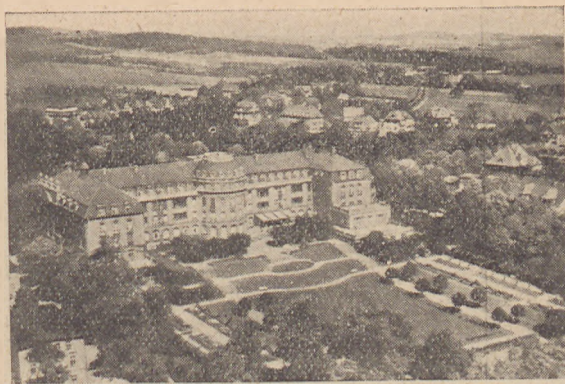
Mimo rozwiniętego przemysłu i licznych kominów fabrycznych Jelenia Góra sprawia wrażenie miasta bardzo przytulnego, dzięki malowniczym okolicom, pięknemu parkowi i bogatej zieleni.

Na ulicach wre życie, mkną liczne samochody, z wytwornych kawiarni dobiegają tony skocznej muzyki... Dzięki położeniu u stóp Sudetów, Jelenia Góra stała się głównym miejscem wypadowym w najwyższe pasmo tych gór — w Karkonosze, oraz w sąsiadujące z nimi od północo-wschodu góry Izerskie. Również Jelenia Góra stanowi węzeł komunikacyjny: kolejowy, tramwajowy i autobusowy dla szeregu zdrojowisk i uzdrowisk na podgórzu sudeckim położonych, jak Wieniec Zdrój (lub Świeradów), Szklarska Poręba (po kolejowemu: Pisarzewiec Górny), Kowary (Krzyżatka, lub po kolejowemu: Kuźnick), Matejkowice, Chojnasty, Agnieszków — i wreszcie najważniejszy z nich pod względem turystycznym: Karpacz (Drogosławice lub po kolejowemu: Krzywa Góra, dosłowne tłumaczenie niemieckiej nazwy: Krummhübel).

Ta mnogość nazw dla jednej i tej samej miejscowości w Sudetach stanowi prawdziwe utrapienie dla podróżujących. A już zupełną udręką jest dwutorowość w tej dziedzinie pomiędzy administracją ogólną i władzami kolejowymi. Każda niemal miejscowość w Sudetach posiada inną nazwę administracyjną, aniżeli jej stacja kolejowa. Po uzdrowiskach sudeckich krąży anegdota, że grono kolejarzy, udających się na wczasy do Drogosławic, objechało w ciągu kilku dni wszystkie miejscowości podsudeckie, napróżno szukając w rozkładzie jazdy kolejowej takiej stacji i dwukrotnie dojeżdżając do tychże Drogosławic i wracając z powrotem, po przeczytaniu na dworcu napisu: „Krzywa Góra”....

Tramwajem elektrycznym dojechaliśmy do odległego od Jeleniej Góry zdrojowiska Cieplice Zdrój, głośnego w czasach przedwojennych w całej Europie Środkowej i frekwentowanego bardzo przez Polaków. W przeciwieństwie do skuteczności leczniczej źródeł termicznych (siarkowe, borowina), przynoszących ulgę cierpiącym na reumatyzm, neurastenię, choroby skórne i kobiece, miejscowość sama niezbyt się nadaje na wypoczynek, posiadając charakter raczej miasta, z turkotem tramwajów, zgiełkiem ulicznym i ożywionym życiem kawiarnianym. Ozdobę miasta stanowi park zdrojowy i zamek, przerobiony z budowli renesansowej po pożarze, w stylu mieszanym późnobarokowym i wczesnoklasycystycznym.

Chlubę i atrakcję Cieplic stanowi naprawdę bardzo ciekawe muzeum ornitologiczne, posiadające 4.000 ptasich okazów, obejmujące wszystkie gatunki śląskiego



Cieplice.

Zb. Wyd. Tur. Min. Kom.

świata skrzydlatego oraz bogaty zbiór kolibrów i innych ptaków egzotycznych; prócz tego 7.500 okazów jaj ptasich, zbiory motyli i chrząszczów.

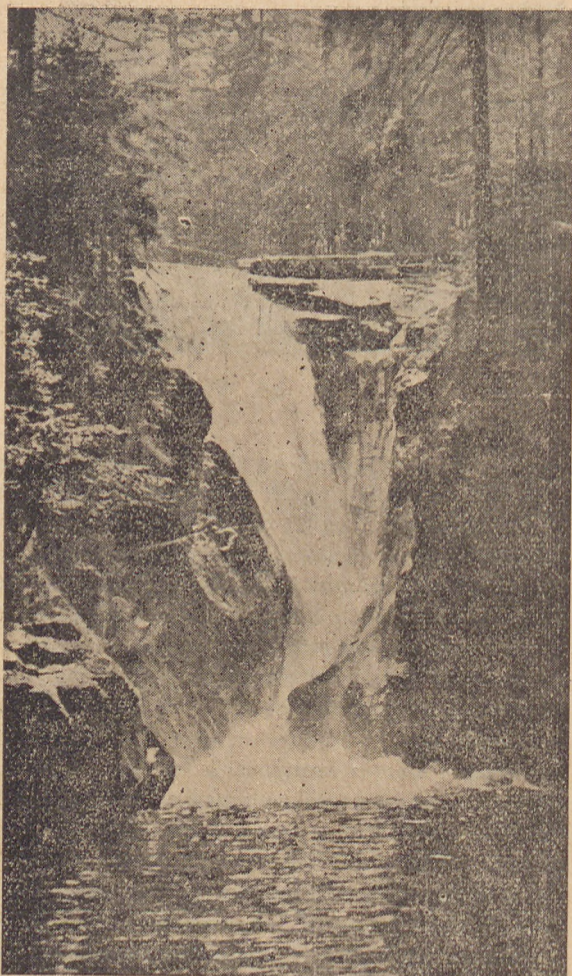
Za miastem w ładnym otoczeniu znajduje się przyjemny basen pływacki, prawdziwe eldorado w upalny letni dzień dla zdrożonych całodziennym marszem, uginających się pod ciężkim plecakiem pieszych turystów.

Baseny takie, nieraz luksusowo urządzone, spotykaliśmy niemal we wszystkich większych miejscowościach sudeckich.

Do Wienca Zdroju komunikacja kolejowa z Jeleniej Góry jest przerwana wskutek zwałonego mostu. Można się dostać tam autobusem, który odchodzi 2 razy dziennie. Wybraliśmy jednak inną drogę: dojechaliśmy koleją do Rabszu, a stamtąd poszliśmy pieszo przez góry Izerskie, pięknymi świerkowymi lasami, pławiąc się w czarnych jagodach i malinach, pnąc się w górę i schodząc wygodnymi, parkowymi serpentynami, oglądając wokół rozległe, malownicze okolice, jak Spokojna Góra, ruiny zamku w Kamieniu Gryfińskim i w końcu amfiteatralnie rozrzucone wille i domy Wienca na zboczu zalesionego wzgórza.

Po drodze między Kotliną (Kesselberg) i Jelenią Skalą (Querbach) odwiedzaliśmy domy osadników polskich. Jeden z nich, przesiedlony z pod Radomia, uraczył nas obficie mlekiem i mimo naszych natarczywych żądań nie chciał wziąć pieniędzy. Pozatym wokół, jak np. w Gierbichach (Gieren) i Rabszu przeważają osadnicy — inwalidzi ostatniej wojny, często bez nóg bądź bez rąk.

Wieniec Zdrój, zwany także Świeradowem, lub Włyńskiem, to najpiękniej położone, najbardziej urocze uzdrowisko spośród wszystkich, jakie udało nam się poznać w Sudetach. Zbudowane u stóp łańcucha wysokiego Izeru i na jego zboczach, w dolinie Kwisy, w miejscu, w którym ten dziki potok wypływa z gór, oddalone od zgiełku i gwaru, najlepiej nadaje się na prawdziwy wypoczynek, na oderwanie się od życia wielkomiejskiego, dzięki wspaniałej ciszy, jaka tutaj króluje. Wpływa na to niewątpliwie i brak ruchu kolejowego, gdyż linia ta jest dotąd nieczynna. Wieniec — w odróżnieniu od Cieplic, np. — nie jest miastem, ale wsią prawdziwą. Jednak istnieją tu sklepy, kawiarnie i restauracje. Na placu zdrojowym wznosi się wspaniały,



Wodospad pod Szklarską Porębą.

wewnątrz z przepychem urządzone, dom zdrojowy z olbrzymią halą spacerową i pijalnią wód mineralnych. W Wieńcu leczą się chorzy na serce, na złą przemianę materii, na dolegliwości kobiece. Istnieją tu kąpiele radocenne, borowinowe i z igliwia. Z placu zdrojowego rozległy widok na malownicze okolice, łańcuchy Izerskie i na całe podgórze z Górą Spokojną i Kamieniem Gryfińskim w oddali. Rozległy naturalny park świerkowy, pokrywający całe zbocza nad domem zdrojowym, stanowi ulubione miejsce przechadzek dla kuracjuszy. Na skraju wsi, w otoczeniu czarownej leśnej przyrody, znajduje się, oczywiście, jak wszędzie, wzorowo urządzone basen z kabinami.

Z Wieńca Zdroju do Szklarskiej Poręby prowadzi szeroka, betonowa szosa, stanowiąca część tak zwanej autostrady sudeckiej, pnąca się serpentynami w górę. Z drogi tej, najpiękniejszego połączenia gór Izerskich z Karkonoszami, turysta ogląda wspaniałą panoramę górską i przepyszne, gęste lasy.

Dla turysty pieszego istnieje jednak droga, dostarczająca więcej widoków i wrażeń. Od autostrady przy schronisku Ludwika (Ludwigsbande, wielki dom, luksusowo urządzone, obecnie zdemolowany i rozkradziony, jak zresztą większość schronisk poniemieckich w Sude-
tetch) prowadzi ścieżka na szczyt Wysokiego Kamie-

nia przez bór niemal dziewiczy (1058 n. p. m.), z którego to szczytu rozciąga się rozległy widok na oba pasma sudeckie: Izery i Karkonosze.

Przeżyliśmy tu pierwszą emocję „graniczną”. U początku ścieżki stoi tablica: „droga zakazana”, bez podpisu. Niewiadomo przez kogo wystawiona. 10 minut wahania. Może to jest zakaz Wojsk Ochrony Pogranicza? Może się narazimy na grube nieprzyjemności? Ale pokusa jest zbyt silna. Przez Wysoki Kamień jest droga znacznie krótsza, a Baedeker, który trzymam w ręku, obiecuje ze szczytu niebawem rozkosze widokowe. Postanawiamy ryzykować i ryzyko się naprawdę opłaciło. Droga przez lasy prześliczna, widok ze szczytu wspaniały, nikt nas po drodze nie zaczepiał, bo zresztą nikogo nie spotkaliśmy.

W Szklarskiej Porębie dopiero dowiedzieliśmy się od leśniczego, że tablica została wystawiona przez władze leśne dla nastraszenia „szabrowników” czyniących tamtędy wyprawy łupieskie, rozkradających zasobne niegdyś schronisko i restaurację na szczycie Wysokiego Kamienia.

Szklarska Poręba (po kolejowemu Pisarzewiec Górny, jako dosłowne tłumaczenie niemieckiego „Oberschreiberhau”) wieś, uzdrowisko klimatyczne i ośrodek turystyczny oraz sportów zimowych, położona jest w rozległej dolinie Wielkiego Kamienia (Gross Zacken), pomiędzy głównym łańcuchem gór Izerskich od północy i głównym łańcuchem Karkonoszy od południowego wschodu. Atrakcją turystyczną stanowi w Szklarskiej Porębie szklana huta w Józwinie, założona w 1842 r. przez hr. Leopolda Schaffgotscha, słynna przed wojną z wyrobów artystycznych, obecnie również czynna. Z wycieczek okolicznych zasługują na uwagę wycieczka do wodospadu Kamienia („Zackelfall”), do wodospadu „Kochelfall” (nazwa polska jeszcze nie ustalona), wreszcie wejście na szczyt, panujący nad Szklarską Porębą, w głównym paśmie Karkonoszów, Szreniec (zwany również Szrenicą, po niem. Reiftraeger, 1362 m. n. p. m.).

Wycieczka na Szreniec przekonała nas, jak dalece przesadzonymi były wiadomości o trudnościach, czynionych turystom ze strony Wojsk Ochrony Pogranicza. Nie żądano od nas wcale, byśmy się stawili koniecznie w 10 osób, (jak głosiły wieści), nie dano nam wcale do asysty żołnierza z karabinem, któryby nas miał prowadzić aż na szczyt (jak to czytaliśmy w „Dzienniku Ludowym”). Po prostu przy wodospadzie na strażnicy po krótkich pertraktacjach z panem kapralem, we czwórkę, pozostawiwszy nasze dowody osobiste, otrzymaliśmy przepustkę i poszliśmy swobodnie na sam szczyt. Pogoda nam, niestety, nie dopisała. Zaszły nas mgły tak gęste, że w otaczającym naokoło mleku nic widać nie było. Zabłądziliśmy wskutek tego i zamiast na szczyt zaszliśmy na czeską stronę — aż kilometr od granicy polskiej. Dopiero studia nad Baedekerem i mapą zorientowały nas i pozwoliły po powrocie na granicę na znalezienie szczytu i schroniska, w którym mieści się obecnie strażnica. Nikogo ze straży granicznej nie spotkaliśmy ani w jednym, ani w drugim kierunku.

W strażnicy na szczycie wyszedł strażnik dopiero na skutek naszego dobijania się do drzwi.

Ze Szklarskiej Poręby betonową serpentyną zeszliliśmy przez lasy do letniska Agnieszków, zwiedzając w nim siedzibę, obecnie przejętą przez władze polskie, zmarłego niedawno poety niemieckiego Gerharda Hauptmanna, skąd dość wygodną, choć stromą ścieżką dostaliśmy się na słynny zamek Kynast, sterczący dumnie na pionowej wysokiej skale granitowej, skąd wspinały roztacza się widok na rozległą okolicę, w jedną stronę ku Karkonoszom, w drugą na dziesiątki kilometrów aż hen za Jelenią Górę. Zamek założył książę świdnicki Bolko II. Obecnie istnieje tam schronisko Dolnośląskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego z restauracją.

Przez Matejkowice, malowniczą drogą wśród lasów doszliśmy do Bierutowic, które tylko potokiem Łomnicy oddzielone są od Karpacza, najgłośniejszego ośrodka turystycznego i sportowego w Karkonoszach. Osobliwość turystyczną w Bierutowicach stanowi mały, drewniany kościół ewangelicki „Wang”, zbudowany w 1842 r. z części składowych przewiezionego tutaj z Wang w Norwegii kościoła z 1200 roku.

(Dokończenie nastąpi)

St. Lenartowicz.

Z Piśmiennictwa

REGIONALIZM W PRASIE I PRASA REGIONALNA. Ruch regionalny w Polsce przed wojną związany był ściśle z ruchem krajoznawczym, a więc ta poza samą stroną ideową była i więzią osobistą, gdyż główny teoretyk regionalizmu polskiego i apostoł ruchu „regionalistycznego”, nieodżałowany ś.p. Aleksander Patkowski był zarazem wielkim działaczem krajoznawczym i redaktorem naszej „Ziemi”. Regionalizm przeszedł pod okupacją pewien kryzys, o którym tu już teraz otwarcie mówić możemy, kryzys wynikający z tego, że niektóre objawy przerostów regionalizmu, niektóre odrębności, w których widzieliśmy dotąd jego urok, wyzyskane zostały przez Niemców do tworzenia odrębnych narodów „góralskiego”, „kaszubskiego” itd. Już więc podczas okupacji w licznych dyskusjach wewnętrznych poddawano rewizji i krytyce dotychczasowe poczynania regionalistyczne. obecnie echa tych dyskusyj co jakiś czas przejawiają się na łamach ukazującej się prasy.

Zagadnienia regionalizmu odbiły się w dyskusji na łamach czasopisma pisarzy chłopskich „Wieś” w sprawie zagadnienia literatury gwarowej. W numerze 1 „Wsi” z 1946 A. Sandauer w artykule „O literaturze gwarowej” słusznie zwraca uwagę na to, że gwarę często uważa się za odrębny język, jak to jest na przykład w regionalizmie prowansalskim. „Tworzenie odrębnego języka w obrębie jednego państwa” — pisze Sandauer — „Świadczy najczęściej o dążeniu do politycznego wyodrębnienia się. Jedności języka polskiego nie należy rozbić...



Bierutów.

Kościół „Wang”.

Można go tylko wzbogacać, lecz nie należy tworzyć całych szkół literackich, których jedyną racją bytu jest to, że piszą gwara danej gminy lub powiatu.” W artykule „Czy regionalizm” w nr. 10 „Wsi” Piotr St. Ziarnik zastanawia się nad niebezpieczeństwami, w które wpaść może źle pojmowany regionalizm: „Trzeba stwierdzić, że jest w Polsce kilka okręgów kulturalnych, posiadających cechy odrębne nie tylko od miejskiej kultury miłościwie nam panującej, ale i od kultury pozostałych okręgów. Należy się zastanowić czy zespół wytworów kulturalnych, czy wartości, jakie poszczególne zespoły w poszczególnych regionach reprezentują, są godne uwagi. I czy wartości te są rzeczywiste, to zn., czy obiektywnie stanowią one coś samorodnego.” „Zachodzi obawa” — pisze dalej Ziarnik — „że przy propagowaniu regionalizmu pisma muhołdujące mogą w entuzjazmie tego „ludowego”, „swojskiego”, „bar-

wnego" zgubić się i nie zauważyć przemian dzisiejszych, nurtu obecnego... Pisma regionalne i działacze kulturalni na niwie regionu muszą szeroko otworzyć wrota swych szpałt dla współczesnej aktualnej problematyki kulturalnej, społecznej i gospodarczej kraju i swego regionu..." Podobne uwagi, przestrzegające przed niebezpieczeństwami, płynącymi ze zbyt konserwatywnego pojmowania regionalizmu płyną i z artykułu Stefana Lichańskiego „Kultura ludowa a regionalizm” w numerze 21 „Wsi”: „Regionalizm nie jest sam przez się żadną ideą kulturalną, jest on natomiast cennym i ważnym środkiem do spotęgowania życia kulturalnego prowincji... Ale życie kulturalne regionu nie może się ograniczyć do zamkniętego kręgu własnych spraw. Kwestią najważniejszą musi być wzajemna wymiana wartości kulturalnych między poszczególnymi regionami oraz między środowiskiem wiejskim a pozawiejskim."

Sporo uwagi poświęca prasa też poszczególnym regionom, gdzie pozytywne osiągnięcia regionalizmu, mimo dzisiejszych ciężkich warunków, w dalszym ciągu są realizowane.

Przed wszystkim pod ogień dyskusji dostał się regionalizm góralski, szczególnie eksponowany z racji tworzonej przez Niemców koncepcji „Gorallenvolku”. Poruszył tę sprawę Wionczek w artykule „Dolary i szubienice” w nrze 24 „Odrodzenia” z 1945, łącząc niemiecką koncepcję z faszystowskim zamilowaniem do parad i dziwactw. Odpowiedział Wionczkowi J. A. Szczepański w artykule „O góralach i Góralach” w nrze 29 tegoż „Odrodzenia”. Szczepański wskazuje, że koncepcja niemiecka „gorallenvolku” sięga dawniejszych czasów niż 1939, wskazuje na „naukowe” zainteresowanie się „odrębnością” góralską przez pseudonaukę niemiecką, omawia kolejne fazy tych zainteresowań, dochodząc wreszcie do wniosku, że „regionalizm jest chwalebna zabawa pod warunkiem, że nie prowadzi do skrajności i dziwactw... Regionalizm jest niebezpieczną zabawą jako częsty próg do separatyzmu”. Tym samym zajmuje się i Jan Gw. Pawlikowski (jun.) w artykule „Przekleństwo z akłamań i a” w „Twórczości” ze stycznia 1945. Autor wskazuje jak literacka koncepcja regionalizmu góralskiego wytworzona przez Tetmajera, jako koncepcja zupełnie sztuczna — sam bowiem Tetmajer zdawał sobie sprawę, że świat góralski przez niego przedstawiony jest światem wyidealizowanym i nie odpowiada rzeczywistości — wpłynęła demoralizująco na góral-

szczyznę. Demoralizacja ta objawiała się też w zupełnym lekceważeniu przed oczyma górali wszelkich zasad moralno prawnych, co uwidoczniło się w okresie sporów o kolejkę na Kasprowy, gdy Związek Górali wpięrow protestował przeciw budowie, a potem, za cenę domu, który otrzymał, podpisywał wszystko zgodnie. A potem, za okupacji? „Zakopiański Związek Górali stał się komitetem Gorallenvolku. Wszyscy inni, co poszli za nim, to były barany, idące za swym capem, o ile nie byli baranami pędzonymi na rzeź. Szczęściem nie było ich tak wiele. Niemcy spostrzegli dość wcześnie, że opieranie tezy politycznej na tej grupie błaznów byłoby zbyt groteskowe. Boć gorallenvolk to nie góralszczyzna, to nawet nie Zakopane. Góralszczyzna obrony nie potrzebuje. Fakt powstania „gorallenvolku” był i jest tragedią nie dla górali, ale dla całego naszego społeczeństwa, bo nie stworzyli go bynajmniej Niemcy. Istniał przed ich przyjściem, a oni nadali mu tylko nazwę. Istniał tak samo i był tak samo hańbą społeczną, jak prostytucja.” Wreszcie jeszcze raz tym samym zagadnieniem zajmuje się J. A. Król w artykule „Jak górale stracili Zakopane” w „Kuźnicy” nr. 21 z 1946, dochodząc do wniosku, że demoralizacja góralszczyzny była winą elementów szlachecko - inteligenckich, które „odkrywały” Podhale w XIX wieku i przez idealizację i tendencje do sztucznego, cieplarnianego konserwowania jego odrębności, wytworzenie „zaczarowanej krainy kultury ludowej” powodowały bezradność tej sztucznej góralszczyzny wobec narastających procesów społeczno - gospodarczych, do których ten wyhodowany folklor nie mógł się włączyć. Stąd zepchnięcie górali do roli świecidełek na pokaz, a opanowanie Zakopanego przez „ceprów”.

Ta krytyka słusznie odcinała parę jednostek, które dało się zjednać Niemcom, od całej masy góralskiej; koncepcja „Gorallenvolku” nie mogła więc skompromitować samej starej idei regionalizmu podhalańskiego, który był jakby wzorem regionalizmu polskiego, a jego organ „Gazeta Podhalańska” jeszcze przed i podczas „tamtej” wojny, za redakcji Feliksa Gwiżdża, potem Juliusza Zborowskiego był przykładem pisma regionalnego. Dobrze się więc stało, że obecnie tradycja została podjęta i „Gazeta Podhalańska” została wznowiona i dobrze, że pierwszy jej numer (z 9 czerwca) zawiera przedruk doskonałego artykułu W. Wnuka „Służba podziemna na szczytach”, naprzekór wszystkim detraktorom podnoszący właśnie mało znane zasługi Podhalańców podczas okupacji niemieckiej w ciężkiej i niebezpiecznej służbie łącznikowej poprzez szczyty Tatr. „Gazeta Podhalańska” zawiera

poza tym wiele interesujących nas wszystkich artykułów ze wszelkich dziedzin, poczynawszy od poezji podhalańskiej, skończywszy na wiadomościach gospodarczych.

Poza „Gazetą Podhalańską” dr. St. Szczotka, zaśluzony dawny spiritus movens regionalizmu żywieckiego, obiecuje wznowienie pięknego kwartalnika żywieckiego „Gronie”, ale z rozszerzeniem zainteresowań do całego Podhala. Czekamy.

Zainteresowanie wzbudza też ruch regionalny na Kaszubach. I tu miał miejsce proces podobny, jak na Podhalu, i tu też dużo głosów krytycznych padło pod adresem kaszubskich poczyznań. Omawiając ruch skupiony dookoła pisma „Zrzesz Kaszebsko” pisał warszawski „Kurier Codzienny” w nrze 100 z 1945: „Należy pamiętać, że przerosty regionalizmu przyczyniły Polsce wiele nieszczęść i kłopotów... Polska współczesna musi być zwarta, jak monolit granitu. Wir jej wszelkich przejawów regionalnych musi być bezapelacyjnie dośrodkowy. Wszelka odśrodkowość to woda na młyn wrogów. Przeszłość niedawna nas uczy, byśmy Polski Demokracji strzegli jak całości i monolitu, krzewiąc taki regionalizm, który wyłączenie służy spajaniu i cementowaniu jej jednolitości”. Regionalizmem kaszubskim zajmuje się też A. Bukowski w artykule „Sytuacja na Kaszubach” w „Strażnicy Zachodniej” nr. 4—5 z 1946. Autor podkreśla, że nieporozumienia, które wynikły na temat regionalizmu kaszubskiego mają swe rozmaite przyczyny, do których obok zaniedbań w służbie informacyjnej należy i to, że „niektórzy przywódcy kaszubszy (Ceynowa i Zrzeszeńcy) przesadnym akcentowaniem właściwości mowy i folkloru przekroczyli niewątpliwie ramy zdrowej pracy regionalnej, narażając przez to całość zagadnienia”. Ale ogólnie Kaszubszczyzna zdrowo przeszła okres okupacji i obecnie bujnie rozwija się tam działalność regionalna. „Strona ideologiczna dzisiejszej działalności regionalnej na Kaszubach” — pisze Bukowski — „nie budzi żadnych zastrzeżeń. Niemniej trzeba stwierdzić, że był początkowo krótki okres, kiedy pewnym czynnikiem zależało na wykorzystaniu odrębności Kaszubów, obiecywano im wiele, aż do autonomii włącznie. Takim odosobnionym tendencjom przeciwstawił się zdrowy instynkt Kaszubów.” Za wadliwe uważa autor tylko to, że organem obecnego regionu kaszubskiego jest „Zrzesz

Kaszebsko”, które, „swoje przedwojenne konto obciążyło tendencjami odśrodkowymi i które skompromitowało się tym, że jej twórca i główny redaktor Labuda stał się w czasie wojny volksdeutschem.” Prócz pisma ruch regionalny objawia się w zjazdach, które odbyły się dwa: w Kartuzach 2 i 3.X. 1945 i w Wejherowie 12—13.I. 1946. Poza tym powstał ostatnio „Instytut Kaszubski” na wzór Instytutu Mazurskiego, ma wychodzić miesięcznik regionalny „Cassubia”

Poza tym regionalizmem kaszubskim wytwarza się jakby regionalizm nadmorski, przejawiający się w licznych ośrodkach poczyznań kulturalnych nad morzem. Reprezentuje je przede wszystkim omawiane już przez nas pismo „Wiatr od morza”, wychodzące w Gdyni — Gdańsku. Niedawno zaczął wychodzić w Szczecinie nowy tygodnik „Szczecin” o dość skromnych rozmiarach, specjalizujący się w zagadnieniach gospodarczych, ale nie zaniedbujący też i ogólnej problematyki całej okolicy, jak np. artykuł Romana Życzewskiego w nrze 7—8 „Zagadnienia polskiego wybrzeża”.

Zagadnieniom pomorskim i szerszym bałtyckim służy wznowiony poważny naukowy organ Instytutu Bałtyckiego „Jantar”. Numer I za lipiec — sierpień 1946 zawiera artykuły J. Borowika „Z perspektywy 20 lat pracy” B. Srockiego „Polska a Bałtyk w przeszłości i obecnie”, St. Srokowskiego „Problem Odry”, Wł. Dziewulskiego „Upadek gospodarczy Pomorza przedrozańskiego w XIX w.”, A. Bukowskiego „Straty kultury polskiej na Pomorzu”, Z. Karczewskiego „Obecne położenie rolnictwa w wojew. olsztyńskim”, M. Pelczara „Zbiory gdańskie” i mniejsze notatki.

Z regionem pomorskim wiąże się i wychodząca w Bydgoszczy „Arkona”. Z obchodzących nas tutaj ściśle regionalnych tematów należy wymienić w dwóch ostatnich jej numerach za czerwiec i sierpień 1946: Jerzy Remer „Pierwsza wystawa plastyki pomorskiej”, Bernard Sychta „Przebudzenie — fragment z dramatu kaszubskiego”, Marian Turwid „List z Bydgoszczy”, Alfred Kowałkowski „Pieśń niedosłyszana”, Jan Piechocki „Zaciekwienie więzi”, Jerzy Remer „Zabytkoznawcze zagadnienie Pomorza”.

Region wielkopolski reprezentowany jest przez wznowiony miesięcznik „Przegląd Wielkopolski”. Mamy przed sobą numer 4 „Przeglądu” zawierający artykuły: A. Skalkowskiego „Kościuszkowa Wielkopole”, Jaxy Bykowskiego „Młodzież szkolna Wielkopolski w świetle badań eksperymentalnych”, St. Pignonia „Znad Gopła na górę Lubiąń” (o Romanie Zmorskim na Łużycach), oraz

wspomnienie M. Jabczyńskiego o Bernardzie Chrzanowskim. Jak więc widzimy „Przegląd Wielkopolski” stara się o objęcie całości zainteresowań regionalnych, utrzymując wysoki poziom artykułów, jak i staranną szatę zewnętrzną.

Na Śląsku regionalizm w dalszym ciągu reprezentują dwa czasopisma naukowe: wrocławski „Śląsk” i katowickie „Zaranie Śląska” oraz tygodnik „Odra”, starający się objąć całą problematykę regionu śląskiego z sąsiednimi ziemiami, a więc zagadnienia Śląska Czeskiego, Łużyc, pogranicznych terenów niemieckich, Moraw, Słowacji itd. Nowy numer „Zarania Śląskiego” (nr 1 — 2 z 1946) zawiera m. in. artykuły: J. Widajewicza „Świętopełk Morawski a Bolesław Chrobry”, H. Barycza „Uniwersytet wrocławski w przeszłości i teraźniejszości”, T. Dobrowolskiego „Najstarsze drewniane kościoły śląskie jako znaki zamierzchłej przeszłości”, S. Golachowskiego: „O dstatystyki do problematyki narodowościowej Śląska”, Z. Izdebskiego „Podstawy weryfikacji ludności na Śląsku Opolskim”, J. Lipińskiego „Kościoł na Dolnym Śląsku”, J. Wildera „Znaczenie gospodarcze Ziemi Odzyskanych”, M. Ambrosa „Bibliografia śląska, jej stan obecny i zadania na przyszłość”, F. Ludery „Geograficzno-florystyczne elementy w obronie śląskich nazw miejscowych”, A. Wrzoska „Nowe Ziemie Śląska jako teren turystyczny”, A. Haupta „Uwagi o projektowanym pomniku Czynu Powstańców”, nowele G. Morcinka „Wróżbita”, fragment wierszowanego dramatu A. Widery „Agaton”, J. Baranowskiego „Legenda o ziemniakach” oraz szereg drobniejszych wzmianek.

Jeszcze jeden region, który dał znać o sobie, to region kielecki. Jest to region o dobrych tradycjach, tutaj przecież na kursach nauczycielskich w atmosferze „Przepióreczki” rodził się regionalizm Aleksandra Patkowskiego, tutaj ten regionalizm osiągnął w „Pamiętniku Świętokrzyskim” najwyższy stopień rozkwitu. Obecnie wydawane jest w Kielcach pismo „Cychry”, „miesięcznik poświęcony zagadnieniom upowszechnienia kultury”. Nie jest to pismo wyłącznie regionalne, stara się ono i o problematykę ogólną, ale tym niemniej dużo miejsca świadomie poświęca tematowi ściśle regionalnym. Mamy przed sobą numery za pierwsze półrocze od stycznia do czerwca 1946 (1—6), gdzie zainteresują nas następujące artykuły: Jana Pazdura „Region Świętokrzyski ze stanowiska humanistycznego”, A. Olesia „Notaty o zabytkach sztuki województwa kieleckiego”, Jana

Pazdura „Insurekcja Kościuszkowska w regionie świętokrzyskim”, Wł. Homana „O zabytkach, pamiątkach i śladach arian polskich w ziemi kieleckiej”, A. Olesia „Święty Krzyż”, J. Nowak — Dłużewskiego „Mecenat kulturalny ziemi kieleckiej”, Janiny Siestrzeńcewicz „Dawni ludzie Łysogór” oraz w każdym numerze notaty o zabytkach sztuki i ich konserwacji, o wykopaliskach i wszelkich poczynaniach kulturalnych ziemi kieleckiej. Pismo ma więc wysokie aspiracje kontynuowania szczytnych tradycji „Pamiętnika Świętokrzyskiego”, śladem też swych poprzedników, którzy usiłowali właśnie w regionie kieleckim krystalizować pewne założenia regionalistyczne i „Cychry” próbują ogólnych rozważań, ale artykuł Z. Siedleckiego „Regionalizm a upowszechnienie kultury” nie zawiera nic nowego poza nie wiele mówiącym stwierdzeniem, że regionalizm „mógłby wy dobyć z kultury a zwłaszcza sztuki ludowej wartości mało znane a niewątpliwie cenne i właściwie je do skarbcza sztuki ogólnopolskiej”.

Inne regiony nie ruszyły się jeszcze po wtrząsach wojennych. Nie znać przejawów regionalnych w Lublinie, który tak dobrze debiutował kiedyś „Regionem Lubelskim”, nie rusza się Zamojszczyzna, która potrafiła kiedyś zdobyć się na doskonałą „Tekę Zamojską”, nie słycać u Kurpiów ani w Łowickim, nie znać ożywienia ani w Rzeszowskim, czy Sanockim, ani w widłach Sanu i Wisły, gdzie ongiś z Dzikowa tak owocną rozwijał działalność regionalną nicodziałowany a zapomniany ś.p. Michał Marczak. Mamy nadzieję, że w miarę pokonywania trudności gospodarczych i te regiony rozwiną szerszą działalność, aby nie pozostać w tyle poza innymi.

Rozwijają się też zainteresowanie samym regionalizmem, jako takim; próbą naszkicowania przeszłości jednej strony ruchu regionalnego w Polsce, to jest samych naukowych, badań regionalnych w terenie w XIX wieku jest rozprawka J. Reychmana „Badania regionalne w XIX wieku” w miesięczniku „Nauka i Sztuka” nr. 4 (7) z 1946.

J. R.

Życie organizacyjne P.T.K.

BIURA TURYSTYCZNE P.T.K. Na posiedzeniu Zarządu Głównego P. T. K. pod przewodnictwem Prezesa Z. Beczkowicza w dniu 21 czerwca 1946 roku po dokładnym rozważeniu sprawy przystosowania prac P. T. K. do potrzeb chwili bieżącej przyjęto wnioski o wezwaniu Zarządów Oddziałów P. T. K. na terenie całej Polski do zorganizowania w każdym ośrodku Biur Turystycznych P. T. K.

Oddział nie może się zasklepić w ciasnym gronie swoich członków, musi wyjść naprzeciw potrzebom ży-

cia, działać nie tylko dla siebie, ale i dla szerokich mas społeczeństwa. O tym, że w danej miejscowości istnieje Oddział P. T. K. muszą wiedzieć wszyscy w danym rejonie.

Dlatego też zarówno na dworcu kolejowym, w magistracie, w ważniejszych urzędach, na rynku winna znaleźć się tablica, informująca, że w danej miejscowości działa Oddział P. T. K. Wskazany adres winien skierowywać zainteresowanych bądź do czynnego lokalu P. T. K., bądź do upoważnionego delegata, który w określonych godzinach, możliwie wygodnych dla turystów, udzielić może niezbędnych informacji zgłaszającym się interesantom.

W dużych ośrodkach może istnieć Biuro Turystyczne P. T. K., działające w dostępnym lokalu w dogodnych godzinach i obsługiwane przez specjalnie dla tych prac powołanego funkcjonariusza (funkcjonariuszy). W małych ośrodkach rolę tę spełniać może wybrany przedstawiciel P. T. K. pracujący np. w magistracie, aptece, szkole czy na innym stanowisku. Chodzi o to, by zgłaszający się interesant nie trafiał na pustkę. W oznaczonym punkcie zawsze się winien znaleźć ktoś, kto by na miejscu choćby ogólnie obsłużył interesanta. Nawet w wypadku nieobecności przedstawiciela P. T. K. znaleźć się na miejscu może ktoś, kto jest w sprawach dobrze poinformowany i może udzielić najniezbędniejszych wyjaśnień (np. zastępca przedstawiciela, żona, nawet woźny).

W zasadzie Biuro Turystyczne P. T. K. winno posiadać:

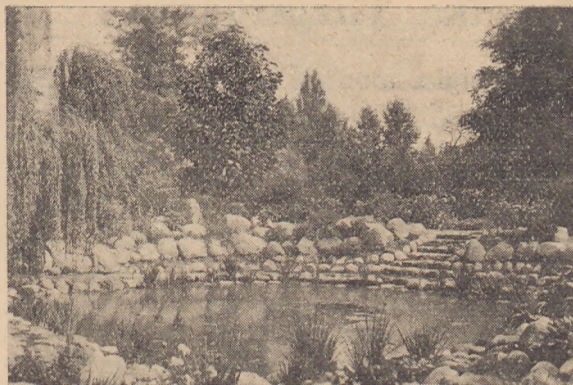
- a) do dyspozycji przewodników po mieście (płatnych, bezpłatnych),
- b) drukowane informatory, ulotki, prospekty,
- c) własne samochody, bądź też być w umówionym kontakcie z wybranym przedsiębiorstwem samochodowym.

Biura udzielają wszelkich informacji, dotyczących krajoznawstwa i turystyki w danym rejonie i w Polsce (ustnie i na piśmie), posiadają aktualne rozkłady jazdy, gospodarują własnymi schroniskami, są w kontakcie z hotelami, schroniskami innych instytucji, jadłodajniami, oraz innymi organami, obsługującymi turystykę. Biura ułatwiają zorganizowanie i przeprowadzenie wycieczek własnych i zgłoszonych.

Dobrym środkiem propagandy turystyki i krajoznawstwa jest umieszczenie np. na rynku dużej trwałej tablicy z plastycznym planem miasta, uwydatniającym godne zwiedzenia punkty. Inna tablica może uwydatniać plan okolic z trasami wycieczek.

OKÓLNIK MIN. KOMUNIKACJI W SPRAWIE P. T. K. Z wydatną pomocą dla działalności Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego przyszło Ministerstwo Komunikacji, które z datą 19 czerwca 1946 roku l. dz. I 5/41/8/46 wydało do Wojewodów okólnik następującej treści:

„Ministerstwo Komunikacji przystępuje w najbliższym czasie do uruchomienia szeregu schronisk turystycznych poniemieckich, które przejęte zostały na własność Państwa. Nie posiadając odpowiedniego aparatu



Ogrody Kórnickie.

Zb. Fund. Kórnick.

ratu administracyjnego, ani personelu, Ministerstwo nie może bezpośrednio eksploatować tych schronisk. Dlatego też koniecznym jest przekazanie gospodarki w tych schroniskach organizacji społecznej, grupującej turystów czynnych, któraby dawała gwarancję, że będzie przestrzegala w swej akcji ideowego poziomu, zgodnego z celami schronisk i posiada już doświadczenie w tej dziedzinie.

Organizacją taką z tytułu swego statutu i kilkudziesięcioletniego dorobku jest Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, którego działalność jest popierana przez władze państwowe w drodze subwencji na cele organizacyjne, gospodarki terenowej i wydawnicze.

Ze względu na ważność i pilność sprawy przekazania temu stowarzyszeniu gospodarki turystycznej w terenie i oddania w administrację schronisk, Ministerstwo prosi Obywatela Wojewodę o polecenie referentowi turystycznemu, ażeby niezwłocznie i z całą energią przystąpił w porozumieniu z odpowiednimi czynnikami społecznymi do inicjowania zakładania Oddziałów Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w ważniejszych miastach i ośrodkach turystycznych, do współdziałania w ich organizowaniu i ażeby stale z zarządami tych oddziałów utrzymywał ścisły kontakt i wydatną współpracę.

Ze względu na wagę i pilność sprawy, Ministerstwo prosi ażeby Obywatel Wojewoda zechciał osobiście zaopiekować się tą akcją i poparł ją całym swym autorytetem.”

DYREKTOR

(—) K. Zabłocki

W związku z powyższym okólnikiem Zarząd Główny zwrócił się do wszystkich Oddziałów P.T.K. działających w ośrodkach wojewódzkich, aby Zarządy tych Oddziałów nawiązały osobisty kontakt z Wojewodami, zgłosiły swą współpracę przy tworzeniu nowych Oddziałów, wskazując bądź najważniejsze punkty, bądź odpowiednich kandydatów na organizatorów Oddziałów, oraz służąc czynną pomocą we wszelkich poczynaniach, mających na celu wzmoczenie działalności Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w terenie.

Okólnik Ministerstwa Komunikacji jest wyrazem zaufania, jakie władze państwowe żywią w stosunku do P. T. K. Z drugiej zaś strony okólnik ten nakłada na P. T. K. poważne obowiązki.

Turystyka wodna

DLACZEGO TAK MAŁO ZAPALU? Skończyła się wojna, przyszła oczekiwana chwila wolności. Ileż to razy w czasie okupacji mówiliśmy o włóczędce kajakowej, ile wspomnień przetrawialiśmy wielokrotnie, ile projektów robiło się na przyszłość. Nawet w niektórych obozach grupowali się kajakowcy i marzyli o tym, jak to było i będzie na wodzie.

A teraz? Co robią zapaleńcy z gawęd wojennych, bo ja jeżdżę od marca? Powiecie: brak sprzętu. Bywa i tak, niestety często tak bywa. Ale znam ludzi, znam kluby, które sprzęt mają, a tak jakoś dzień za dniem upływa. Sobota. Ktoś zaprasza do knajpy, są czyjeś imieniny, i znowu mijają tygodnie i lato ucieka, a w zimie będziecie żałowali.

Powiecie: brak bezpieczeństwa. Nie jest tak źle. Jeździmy od wczesnej wiosny i nie mieliśmy żadnej złej przygody.

Czy pamiętacie jeszcze, jak pachną sosny nad jeziorem? A jeziora Brodnickie są jeszcze piękniejsze niż przed wojną i mieszkają na nich dzikie łabędzie i czaple i wydry, które nie uciekają przed człowiekiem, bo nikt ich przez tyle lat nie płoszył. Pewno chcielibyście je zobaczyć.

Czy pamiętacie te piękne zachody, barwiące wodę złotem, czerwinią lub fioletem? Czy pamiętacie gawędy przy ognisku i tę szaloną wartość bezpośrednio obcowania z przyrodą, gdy człowiek staje się mały, maleńki, a śmieszne troski i kłopoty giną, jak w bajce.

Brak sprzętu... suma wydana na trzy bibki w knajpie, a macie przecież takie na sumieniu, da wam napewno kajak. Ekwipunek powoli się skompletuje. Naturalnie, nie będzie to takie, jak przed wojną, ale i wtedy nie od razu mieliśmy wszystko, kompletowało się całe lata.

Zdobędzie się wszystko, trzeba tylko przeweksłować swoje nastawienie. Trzeba koniecznie wytłumaczyć „jemu”, że kajak jest więcej wart, niż knajpa, czy karty, a „ona” musi zrozumieć, że lepiej mieć namiot, pod dachem którego szum wody ukołysze do snów rozkosznych, niż nową sukienkę, na którą padnie kurz wielkiego miasta. Jeszcze jest czas — sezon nie skończony, może jeszcze w tym roku spotkamy się na wodzie.

A potem podziękujecie mi serdecznie.

CZARNA WODA. Czarna Woda, rzeka łądowo leśna jest jedną z najpiękniejszych rzek Pomorza. Wypływa poniżej Lipusza, przepływa przez szereg wielkich i mniejszych jezior, porusza elektrownie w Gródku i Zurze i wpada do Wisły pod Świeciem. Na całej

przestrzeni jest dostępna dla kajaków. Szczegóły o niej znajdziecie w przewodniku „Najpiękniejsze Trasy Kajakowe”.

Spłynęłam w tym roku w początku lipca najpiękniejszym jej odcinkiem, od Czarnej Wody do Zuru i zastałam ją jeszcze piękniejszą niż dawniej, o brzegach nie zniszczonych wojną, to też zachęcam każdego kajakowca do poznania tej rzeki. Ludność na całej trasie witała nas radośnie, jako zwiastunów stałego pokoju. Słyszało się takie zdania: „patrz, kajaki, to już naprawdę będzie pokój. Sześć lat nie widzieliśmy was tutaj.”

Ale skutki wojny wytworzyły na Czarnej wodzie pewne przeszkody, które podaję poniżej do wiadomości turystów wodnych:

Wieś i stacja Czarna Woda. Most kolejowy zwalony i most drogowy, leżą w korycie rzeki. Na razie przejazdu nie ma, trzeba obnosić. Konstrukcję mostu drogowego rozbierają, celem oczyszczenia koryta.

Poniżej wsi Jastrzębie most z pali leżący na wodzie. Nawet przy wysokim stanie wody można przejechać pod prawym brzegiem leżąc w kajaku.

Przy leśnictwie Czubek na zakręcie obok zwalonego mostu postawiony nowy. Trzeba jechać trzecim przesłem od prawego brzegu.

Wdecki Młyn. Młyna niema. Przed mostem drogowym trzeba skrócić w prawo, w odnogę rzeki, która doprowadzi do starego upustu. Przenieść prawą stronę.

Most kolejowy poniżej leśnictwa Młynki. Zwalona konstrukcja częściowo usunięta z wody. Reszta połączona z łądem niskim mostkiem dla pieszych. Można spłynąć pod tym mostkiem lewą stronę.

STACJE TURYSTYCZNE P.Z.K. Jeszcze w tym roku zostaną uruchomione dwie stacje turystyczne P.Z.K. na Czarnej Wodzie: 1 we wsi Łęg na prawym brzegu rzeki, przy zwalonym moście drogowym, łączącym wieś Czarna Woda ze wsią Łęg. 2 we wsi Wda na lewym brzegu — przed mostem drogowym.

SKRZYNKA POCZTOWA. Z dniem dzisiejszym wznawiamy skrzynkę pocztową Komisji Turystycznej P.Z.K. odpowiadać będziemy na wszystkie pytania, dotyczące turystyki wodnej. Listy należy adresować: Warszawa — Kryniczna 5 m. 1 — Komisja Turystyczna P.Z.K.

Maria Podhorska Okołów
Kapitan Turystyczny P.Z.K.

Od Redakcji

Z powodu urlopów letnich numer sierpniowy „Ziemi” wyszedł z opóźnieniem. Numer wrześniowy ukaże się w terminie właściwym.

Předpłatę kwartalnie 40 zł. przyjmują urzędy pocztowe na konto czekowe P.K.O. Nr I-1401. Zeszyt pojedynczy 15 zł.

Cena niniejszego zeszytu zł. 15.—

Redakcja w Warszawie, ul. Wilcza 22 m. 8. Administracja w Warszawie, ul. Widok 10, parter

Redaktor: STANISŁAW LENARTOWICZ Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze

Druk. Samop. Nauczyc. Spółdz. z odp. udz., Raszyńska 22.

B-10196